Jan Zasadziński

Wspomnienia członka polskiej delegacji w Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie w latach 1967-1968

Przegląd Historyczno-Wojskowy 12 (63)/5 (238), 135-162

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

JAN ZASADZIŃSKI

WSPOMNIENIA CZŁONKA POLSKIEJ DELEGACJI W MIĘDZYNARODOWEJ KOMISJI NADZORU I KONTROLI W WIETNAMIE W LATACH 1967–1968

Przez około 10 miesięcy byłem członkiem polskiej delegacji do Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli (MKNiK) w Wietnamie. Ponieważ wiele widziałem i wiele przeżyłem, chcę – już bez emocji – podzielić się wrażeniami i spostrzeżeniami.

Postanowienia konferencji genewskiej

Pozytywna opinia o działalności Polski w misji pokojowej w Korei miała niewątpliwie wpływ na to, że nasz kraj już rok po zakończeniu działań wojennych w tym kraju został zaproszony przez 5 wielkich mocarstw – ZSRR, Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Chińską Republikę Ludową i Francję – uczestników konferencji genewskiej w sprawie Indochin do udziału w pracach Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie, Laosie i Kambodży.

Układy genewskie położyły kres trwającej od roku 1945 wojny Francji w Indochinach. W wyniku rokowań genewskich doszło do podpisania 20 lipca 1954 roku układu o przerwaniu działań wojennych i utworzeniu trzech suwerennych państw: Wietnamu, Laosu i Kambodży. Wietnam został czasowo podzielony wzdłuż 17 równoleżnika na część północną, która miała być przejęta przez siły patriotyczne, i część południową zajmowaną przez ugrupowania prawicowe, proamerykańskie.

Układy genewskie przewidywały jednocześnie przeprowadzenie w roku 1956 ogólnokrajowych demokratycznych wyborów mających doprowadzić do utworzenia centralnego rządu wietnamskiego, połączenia sztucznie podzielonego narodu i utworzenia jednego państwa.

Kontrola wykonania układów genewskich została powierzona komisjom mieszanym składającym się we wszystkich trzech państwach (Wietnam, Laos, Kambodża) z przedstawicieli obydwu stron oraz Międzynarodowym Komisjom Nadzoru i Kontroli (MKNiK), w których skład weszli przedstawiciele Indii, Kanady i Polski. (...)

Rolę ostatecznej, rozstrzygającej instancji przyjęli na siebie uczestnicy konferencji genewskiej, którzy zgodzili się przeprowadzać konsultacje i podejmować aktualne decyzje wówczas, gdy jedna ze stron odmówi wykonania zalecenia MKNiK lub ta nie osiągnie jednomyślności w ważnych sprawach albo będzie miała trudności z wykonywaniem zadań. (...)

Organizacja Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie

Międzynarodowa Komisja Nadzoru i Kontroli (MKNiK) ukonstytuowała się 18 sierpnia 1954 roku w Hanoi. Przedstawiciele trzech delegacji (Indii, Kanady, Polski), każdy w randze

ambasadora, stanowili pion normatywny, tzw. Komitet Ambasadorów, któremu przewodniczył Hindus. Rozważał on sprawy proponowane przez poszczególne delegacje. Jego decyzje miały charakter ostateczny. Do kierowania pracą Komisji został powołany Sekretariat Generalny, podległy sekretarzowi generalnemu. Godność tę sprawował ambasador Indii.

Sekretariat Generalny tworzyły sekcje: operacyjna, wolnościowa i administracyjna. Ich pracą kierowali zastępcy sekretarza generalnego. I tak:

- sekcją operacyjną – Kanadyjczyk – kierowanie pracą grup operacyjnych;
- sekcją wolnościową – Polak – przyjmowanie i rozpatrywanie petycji od poszczególnych osób i organizacji społecznych, rozpatrywanie skarg stron;
- sekcją administracyjną – Hindus – sprawy administracyjne, finansowe, mieszkaniowe, zdrowotne, transportowe i bezpieczeństwo komisji.

Organami wykonawczymi MKNiK były powołane przez nią grupy inspekcyjne stałe (działające w określonych punktach) i ruchome (działające na obszarach przyległych do granic i linii demarkacyjnych). W ich skład wchodzili przedstawiciele wszystkich trzech państw neutralnych w równej liczbie. W Wietnamie utworzono 14 stałych grup inspekcyjnych, w Laosie – 7, w Kambodży – 5.

Jedynie w Wietnamie działalność MKNiK nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Wynikało to z sabotowania jej poczynań od początku jej istnienia przez rząd południowowietnamski.

W latach 1963–1973 działalność MKNiK została poważnie ograniczona. Był to okres otwartej agresji zbrojnej Stanów Zjednoczonych Ameryki na Półwyspie Indochińskim i eskalacji wojny w celu całkowitego podporządkowania sobie państw tego obszaru.

Delegacja Polska przeciwstawiała się wszelkim wypaczeniom jej działalności. Mimo praktycznego zamrożenia tej działalności, nasi przedstawiciele w Komisji trwali na swoich posterunkach z myślą, że będzie ona mogła spełnić pożyteczną, wyznaczoną jej układami genewskimi rolę. (...)

Podróż

Przykre są chwile pożegnania, na pewno zawsze trochę sentymentalne, ale za to ludzkie. Odprowadzający żegnają miłymi gestami ręki, żona z córką podnoszą do oczu chusteczki i trudno było oprzeć się wzruszeniu, które i mnie się udzieliło. Leciałem przecież w nieznane z kolegami: płk. dr. n. med. Janem Gliszczyńskim i ppłk. Stanisławem Klimkiem.

Wylecieliśmy z Warszawy do Moskwy samolotem Polskich Linii Lotniczych LOT 17 lipca 1967 roku o godz. 17.50. Samolot IŁ-18 powoli kołował na pasie startowym, aż wreszcie oderwał się od ziemi. Pas przestrzeni między nim a ziemią stale się powiększał i wreszcie rozpłynął się we mgle. Stopniowo pogoda zaczęła się poprawiać i nad Wilnem około godz. 19.00 widoczność była doskonała. Z góry przez moment podziwiałem swoje rodzinne miasto, które przymusowo opuściłem w 1942 roku. Lecieliśmy na wysokości 6000 m i do Moskwy dolecieliśmy o godz. 20.20. Na lotnisku mogliśmy wymienić po 150 złotych, co dawało wówczas około 9 rubli. Dieta podróżna wynosiła 12 rubli. Było to jednak za mało na kupno aparatu fotograficznego Zorka-4. Mój przyjaciel Stasio miał z sobą bukiet pięknych róż, które otrzymał podczas pożegnania na lotnisku w Warszawie. Kwiaty, oczywiście za jego zgodą, wręczyłem kasjerce, podkreślając, że są od nas Polaków specjalnie dla niej.

Przyjęła je z niedowierzaniem i pytaniem, czym ona może się odwdzięczyć. Powiedziałem, że chcemy wymienić trochę pieniędzy. Wymieniliśmy sporo. Wystarczyło każdemu z nas na kupno aparatu fotograficznego i dobrą kolację w restauracji dworca lotniczego przed dalszą podróżą do Irkucka. Zamówiliśmy m.in. „solankę" (zupa na bazie barszczu z buraków), smakowała wybornie.

Noc spędziliśmy w wygodnym hotelu, a w dzień zwiedzaliśmy miasto. Odlot z Moskwy nastąpił 18 lipca o godz. 22.35 samolotem Tu-104. Po trzech godzinach lotu z prędkością 850–900 km/godz. (na wysokości 8–10 km, temperatura zewnętrzna około –50˚C) wylądowaliśmy w Omsku już 19 lipca o godz. 1.40. Po 50-minutowej przerwie kontynuowaliśmy lot tym samym samolotem do Irkucka, gdzie wylądowaliśmy o godz. 5.10 czasu moskiewskiego. Skrawek Bajkału widziałem, niestety tylko z góry.

Po umyciu się i spożyciu śniadania wylecieliśmy o godz. 7.50 czasu moskiewskiego (według czasu pekińskiego była już godz.12.50) w dalszą drogę do Pekinu samolotem chińskiego przewoźnika. Stewardesy (dwie) – ładne dziewczyny, ubrane bardzo skromnie w wypłowiałe drelichy, zabawiały pasażerów grając, tańcząc i śpiewając. Każdy z nas otrzymał czerwoną książeczkę z myślami Mao Tse-tunga (w języku angielskim) i jego fotografią. Kilkunastu pozostałych pasażerów, prawdopodobnie Chińczycy – odprawiało jakieś misteria, recytując, krzycząc i co chwila wstając z miejsc. Tylko oni rozumieli o co chodzi. Żeby nie narazić się na przykrości, udawaliśmy, że nie zwracamy na nich uwagi.

Po wylądowaniu w Pekinie (18 lipca o godz. 16.00) przez kilkanaście minut pozostaliśmy jeszcze w samolocie, wentylacja już nie działała. Poczułem gorące i duszne powietrze. Miałem wrażenie, że owinięto mnie szczelnie ręcznikiem wyjętym z gorącej wody. Temperatura powietrza wynosiła 35˚C w cieniu.

Po wyjściu z samolotu przywitali nas przedstawiciele Ambasady Polskiej w Pekinie, a w poczekalni dworca lotniczego zostaliśmy poczęstowani zieloną herbatą (cudownie gasi pragnienie). W tym czasie wbiegło tam kilkunastu hunwejbinów z czerwoną flagą (chińskich czerwonogwardzistów, uczestników „rewolucji kulturalnej" w Chinach, rozpoczętej w 1966 roku). Widząc, że nikt z obecnych nie stał tyłem do ogromnego portretu Mao Tse-tunga, pośpiesznie opuścili pomieszczenie. Znawcy twierdzili, że gdyby ktoś stał tyłem do obrazu, wówczas, nie zwracając uwagi na status osoby, biliby ją i kopali. My akurat staliśmy bokiem.

Po około półgodzinnej jeździe samochodem przybyliśmy do naszej ambasady. Po drodze mijaliśmy tłumy ludzi i ogromne napisy wzdłuż trasy przejazdu (oczywiście nie na naszą cześć). Warunki w ambasadzie wspaniałe. Była to jedna z najładniejszych ambasad akredytowanych w Pekinie. Otoczona zielenią, z basenem i wygodnymi pomieszczeniami. Każdy otrzymał dietę w wysokości 16 juanów (1 juan = 18 zł).

Uiściliśmy należności za posiłki w ambasadzie i pojechaliśmy do miasta, do specjalnego sklepu dla obcokrajowców, aby wydać resztę otrzymanych pieniędzy. Kupiłem kilka drobiazgów (pióra, długopisy z chińskim wkładem), które przy nadarzającej się okazji przekazałem – przez grzeczność – żonie i dzieciom. Po powrocie z miasta umyliśmy się, wykąpaliśmy się w basenie i udaliśmy się na zasłużony odpoczynek w wygodnym łożu.

Vis à vis naszej ambasady mieściła się ambasada brytyjska, którą blokował tłum krzyczących ludzi. Nikt nie mógł wyjechać ani wjechać z zaopatrzeniem. Wyjątek stanowił

samochód ambasadora, który był opluwany przez oblegających (oplucie kogoś lub coś to największa obelga Chińczyków). Podobny dramat przed kilkoma dniami przeżywał personel naszej ambasady, była ona blokowana przez 2 tygodnie. Pracownikom groziła śmierć głodowa, gdyż nie posiadali zapasów żywności, a zaopatrzenie nie docierało.

20 lipca o godz. 7.00 opuściliśmy Pekin, odlatując małym samolotem IŁ-14 do Hanoi. Było niezwykle gorąco i duszno. Chłodziliśmy się wachlarzami w kształcie dużego liścia. Cały dzień spędziliśmy w samolocie, z przerwami na posiłki, które spożywaliśmy na lotniskach. Podczas ostatniego postoju przed granicą z Wietnamem o godz. 18.15 odbyła się kontrola dokumentów. Dworce lotnicze były schludne. Przed posiłkami podawano wilgotne ręczniki, żeby wytrzeć ręce, a następnie zieloną herbatę. Obiad i kolacja – obfite, kilkudaniowe. Niestety, ze względu na specyficzny zapach prawie nic nie tknąłem (coś w rodzaju silnych perfum). Spożyłem jedynie kilka plastrów ananasa. Nigdy przedtem go nie jadłem, smakował. O godz. 19.30 wylecieliśmy w dalszą podróż. Nagle zrobiło się ciemno i po godzinnym locie byliśmy na miejscu. Do Hanoi przylecieliśmy o godz. 19.30 czasu miejscowego (czas Hanoi był przesunięty w stosunku do naszego o 6 godzin, a pekiński – o 7 godzin do przodu).

Na lotnisku Gia Lam powitała nas delegacja MKNiK, jechaliśmy do hotelu. Miasto oświetlone, na ulicach duży ruch rowerowy i pieszy, samochodów niewiele. W hotelu każdy z nas otrzymał apartament – pokój o powierzchni około 50 m^2, łazienka, w.c. z umywalką. W pokoju duże łoże (2 x 2 m), kominek, stół, 4 fotele, stolik okolicznościowy, biurko, szafy i kilka jeszcze sprzętów i drobiazgów. Na noc służba hotelowa zabezpieczała łóżko moskitierą (zasłona z gęstej siatki chroniąca przed moskitami, komarami i innymi owadami). Spało się jak pod baldachimem. Nad łóżkiem wiatrak, który trochę chłodził.

Po częściowym zagospodarowaniu się zostaliśmy zaproszenie na kolację. Atmosfera miła, wręcz serdeczna. Naturalnie wiele pytań o wrażenia z podróży i o kraj.

Nie mogłem uwierzyć, że przebyłem prawie całą Syberię z zachodu na wschód i Chiny z północy na południe, że jestem tak daleko od kraju. Podróż trwała zaledwie 3 doby, z czego 2 noce spędziłem w łóżku.

Wietnamczycy w Hanoi robili bardzo dobre wrażenie. Byli niezwykle uprzejmi i skromni, ambitni, a zarazem zamknięci w sobie. Młodzież, którą spotykałem w mieście, była uśmiechnięta i pomimo ciężkich warunków bytowania na ich twarzach nie widać było cierpienia. Za kilka miesięcy, w ramach rotacji w poszczególnych grupach (miejscowościach), miałem tu wrócić i lepiej poznać miasto i jego mieszkańców.

Po 5 dobach wyleciałem do Sajgonu. Po 2,5 godzinie lotu lądowaliśmy w Vientiane, stolicy Laosu. Przywitali nas koledzy z polskiej delegacji Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Laosie. Noc spędziliśmy w hotelu, aby już rano wyruszyć w dalszą podróż do Phnom Penh, stolicy Kambodży, gdzie lądowaliśmy po 3,5 godzinie lotu. Po półgodzinnej przerwie odbyliśmy dalszy 50-minutowy lot, lądując w Sajgonie na lotnisku Tan Son Nhut, które odwiedzałem dość często ze względu na wyloty i przyloty w ramach rotacji na poszczególnych grupach kontrolnych. Przywitał nas płk Marian Wieczerzak, który wprowadzał mnie przez najbliższych kilka dni w tajniki tutejszego pobytu. Byłem odurzony tym wszystkim, co tam zobaczyłem. Niesamowity ruch, mnóstwo ludzi i ogromne kontrasty

oraz towarzyszący temu charakterystyczny słodkawy zapach rozkładających się roślinnych odpadów.

Otrzymałem pokój w hotelu „Cantinat", w którym mieszkała większość Polaków z MKNiK. Nieliczni mieszkali w hotelu „Oskar". Oba znajdowały się obok siebie, w centrum miasta. Pokój dość duży z łazienką, klimatyzatorem i wiatrakiem u góry. Wyposażenie: kwadratowe łoże, biurko z biblią w języku angielskim w szufladzie, stolik okolicznościowy, 4 fotele, krzesło, taboret, telefon, lampka nocna, szafa ścienna i jaszczurka na ścianie, która wyłapywała owady. Trzeba było o nią dbać. Okna miałem szczelnie zasłonięte i zaciemnione ze względu na temperaturę (we wewnątrz około 18–20˚C, na zewnątrz około 28˚C, czyli zbliżona do naszej; najcieplejszy bywa tutaj styczeń–luty).

Na lotnisku otrzymałem trochę pieniędzy w piastrach (miejscowa waluta) na poczet miesięcznej diety, z myślą o zagospodarowaniu się. Musiałem kupić niezbędny sprzęt, który nieodłącznie towarzyszył mi podczas pobytu na południu – maszynkę elektryczną, czajnik, imbryk, rondelek i kilka szklanek. Trzeba było pić dużo płynów i mieć stale przegotowaną wodę do płukania jamy ustnej (groźba ameby).

Po zakupy wybrałem się z moim cicerone Marianem na tzw. barachołę, królestwo ulicznych straganów i walizkowych sprzedawców, którzy swój towar rozkładali bezpośrednio na chodniku. Panował tam niesamowity tłok. Pierwsze wrażenie wzrokowe i zapachowe wprost odrażające. Przez cały czas pierwszego tam pobytu i kilku następnych nos zatykałem chusteczką, co wzbudzało pobłażliwy uśmiech Mariana. On już był tutaj zadomowiony, przebywał ponad pół roku i zdążył się przyzwyczaić do widoków i zapachów.

Barachoła znajdowała się w samym centrum miasta, w pobliżu hotelu „Cantinat", na obszarze zamkniętym reprezentacyjnym ulicami: Le Loi, Ngujen Hue, Ham Nghi. Straganiarze, w porównaniu ze sprzedawcami walizkowymi, stanowili swoistą arystokrację. Towar mieli ułożony, dla wygody klienta. Daszek osłaniał przed palącymi promieniami słońca. Podczas sjesty, zwykle między godz.13.00 a godz. 15.00, właściciele drzemali w hamakach zawieszonym na 2 krańcowych żerdziach straganu. Na straganach można było znaleźć prawie wszystkie produkty potrzebne do bieżącej konsumpcji. Pochodziły one ze szmuglu i amerykańskich magazynów.

Jeszcze bardziej egzotyczny, ze znacznie intensywniejszymi zapachami był bazar żywnościowy, na który wybrałem się również z Marianem, aby zapoznać się z folklorem najbliższej okolicy. Był on wystawą tego wszystkiego, co dawała urodzajna ziemia i co znajdowało się w ciepłych wodach tego kraju. Stragany uginały się od owoców i warzyw: bananów królewskich (dużych) i dzikich (mniejszych), pomarańczy, cytryn (małych i większych), grejpfrutów, ananasów, orzechów kokosowych, mango, papai, najprzeróżniejszych nasion oraz bulw, m.in. ziemniaków (bardzo drogich), i wielu innych, których dotychczas nie widziałem i nie wiem jak się nazywają. Przyznaję z żalem, że ich nawet nie spróbowałem.

Na straganach były ryby (suszone i świeże), skorupiaki – kraby, raki, ostrygi i inne, w klatkach drób, węże, jaszczurki, małpki, koty i psy. Na miejscu można było spożyć pieczoną kurą i inne specjały przyrządzone w minibarach. Na pionowo umocowanej macie bambusowej wisiały świeżo przygotowane przysmaki, po których łaziło mnóstwo much i innych owadów.

Wśród przelewających się przez barachołę ludzi byli tacy, których nie stać było na kupno najprostszego posiłku. Kaleki bez nóg i rąk, niektórzy wręcz czołgający się w tłumie, okaleczeni chorobami i działaniami wojennymi, z zawieszonymi na piersiach tabliczkami z napisami w języku wietnamskim i angielskim, błagali o litość. Nie wywoływali jednak większego zainteresowania otoczenia. Prawdopodobnie wszyscy przywykli tu już do ludzkich tragedii.

Mężczyźni najczęściej byli ubrani po europejsku (spodnie, białe koszule, sandały na nogach), natomiast kobiety w tradycyjnych strojach (najczęściej) – wąskie bądź szerokie spodnie i długie suknie rozcinane po bokach od pasa w dół.

Na takich bazarach trzeba było umieć kupować. Gdy chciałem zapłacić za wybrane przedmioty codziennego użytku, kolega cofnął moją rękę z pieniędzmi i zaczął się targować. Zapłaciłem tylko połowę początkowo żądanej kwoty. Pilnie uczyłem się jak robią to inni. W dużych sklepach ceny były raczej stałe. Produkty żywnościowe kupowałem w Sajgonie w sklepach na ulicy Tu Do. Można było nabyć wszystko, czym dysponowały sklepy w każdym nowoczesnym mieście na Zachodzie. Ekspedientki witały wchodzących Polaków po polsku (trzeba było być konkurencyjnym). Znacznie gorzej było w miejscowościach prowincjonalnych.

Po zakupach dzień upłynął na składaniu kurtuazyjnych wizyt. Naturalnie wszyscy spragnieni byli wiadomości z kraju, bezpośrednich relacji o rodzinach, z którymi miałem możność widzieć się przed odlotem, i – o ironio – zapachu świeżo zaparzonej kawy, ale przywiezionej z kraju.

Praca w Komisji, plan pobytu w Wietnamie

27 lipca 1967 roku rozpocząłem pracę w Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli. O godz. 7.40 odjeżdżałem sprzed hotelu 10-osobowym samochodem przeznaczonym do przewozu członków komisji na miejsca pracy, do tzw. campu. Były to dawne koszary francuskie, w których delegacje hinduska, kanadyjska i polska miały wydzielone dla siebie pomieszczenia. Praca trwała od godz. 8.00 do godz. 13.00.

Przede wszystkim zapoznawałem się z nowymi warunkami i przygotowywałem do czynności kierownika grupy kontrolnej (inspekcyjnej) oraz pilnie studiowałem dokumenty postanowień genewskich. Szczególnie „Instrukcję dla grup stałych i elementów ruchomych MKNiK w Wietnamie" wraz z załącznikami, których było prawie tyle, ile liter w alfabecie łacińskim. Każdy z nich składał się z paragrafów, punktów i podpunktów. Zaznajamiałem się z „Kompendium Komitetu Ambasadorów i Komitetu Operacyjnego MKNiK".

Musiałem – tak sobie postanowiłem – dokładnie znać treść wymienionych dokumentów, aby w zaistniałej sytuacji nie mieć kompleksów wobec partnerów. Okazało się później, że ich nie miałem.

Przez kilka dni brałem udział jako obserwator bez prawa głosu w czynnościach mandatowych Grupy Inspekcyjnej w Sajgonie. Przyglądałem się ich pracy. Po kilku wyjazdach na kontrolę stałem się jej samodzielnym, pełnoprawnym członkiem, składając swój podpis pod opisem wyników odbytej wizytacji. Po kontroli, która trwała około 2 godziny, pilnie studiowałem materiały dotyczące czasowego pobytu grupy w Hue.

Praca kierownika grupy w Sajgonie była łatwiejsza niż w innych grupach. W razie wątpliwości można je było wyjaśnić od razu na miejscu u przełożonych, natomiast w innych

miejscowościach byłem zdany tylko na własną wiedzę i znajomość postanowień genewskich i innych dokumentów.

Grupy inspekcyjne na podstawie protokołów dziennych wpisywanych do księgi faktów z każdego dnia kontroli opracowywały raporty tygodniowe, podając w nich rezultaty kontroli i inspekcji w swoich strefach działania. Wpisywano kontrole i zaistniałe podczas nich fakty, dyskusje członków grupy, wizyty oraz sprawy bytowe. Podpisywali wszyscy. W ciągu 24 godzin, do czasu następnego wyjazdu w teren można było złożyć oświadczenie mniejszościowe.

Raport tygodniowy WTR podpisywali wszyscy członkowie grupy. W razie różnicy zdań, członek mający inny pogląd na poruszane w raporcie sprawy mógł sporządzić oddzielny raport. (...)

Międzynarodowa Komisja Nadzoru i Kontroli posiadała swoją flagę – biały, trójkątny proporzec z wyhaftowanymi pośrodku złotymi literami „IC" (International Comission).

Samochody używane przez członków komisji były koloru białego, z proporczykami i namalowanymi czarnymi literami „IC" po bokach.

Obowiązywał język angielski. Polacy – kierownicy grup inspekcyjnych korzystali z pomocy tłumaczy, też Polaków. Zarówno oficerów – członków grup inspekcyjnych, jak i tłumaczy obowiązywała rotacja. Przewidywany okres przebywania w danej miejscowości wynosić 4–6 tygodni. W moim przypadku był on zawsze dłuższy. Planu rotacji nie podawano do ogólnej wiadomości, tzn., że nie wiedziałem wcześniej ani miejsca, ani czasu pobytu, nie znałem nazwiska mojego tłumacza oraz mojego zmiennika.

Były miejscowości lepsze i gorsze. Do Hanoi był przewidziany inny oficer, a ja do Cap St. Jaegues (podobno bardzo piękna miejscowość). Niestety, stało się inaczej. Tamten, być może bardziej ustosunkowany, poleciał do Cap St. Jaegues, ja do Hanoi. Miałem tam przebywać tylko 3 tygodnie, byłem ponad 6 i już do tej pięknej miejscowości nie poleciałem, ponieważ nie zdążyłem.

Każdy wylot do innej miejscowości – między nimi była tylko komunikacja lotnicza – odbywał się przez Sajgon i wiązał się z kilkudniowym tam pobytem.

Mój plan pobytu w Wietnamie przedstawiał się następująco:

– podróż 17–20 lipca 1967
– Hanoi 20–24 lipca
– Sajgon 25 lipca–22 sierpnia
– Hue 22 sierpnia–17 listopada (z przerwą na okresowe badania lekarskie w Sajgonie)
– Sajgon 17–22 listopada
– Qui Nhone 20 listopada–23 stycznia 1968
– Sajgon 23 stycznia–8 lutego
– Hanoi 9 lutego–22 marca
– Sajgon 23 lutego–19 kwietnia
– Kambodża 19–28 kwietnia (urlop – Phnom Penh, Angkor, Sihanoukville)
– powrót 28 kwietnia–8 maja.

Podróż powrotna odbywała się kilkoma liniami lotniczymi. Wyleciałem z Phnom Penh samolotem przewoźnika czeskiego. Przez Rangun (postój), Bombaj (postój), Dubaj

(postój) dotarliśmy do Bejrutu, gdzie spędziliśmy noc w hotelu. Dalej włoską linią do Rzymu (pobyt 6-dniowy), francuską do Paryża (pobyt 3-dniowy) i następnie polską przez Berlin (postój) do Warszawy. W Warszawie wylądowałem 8 maja 1968 roku o godz. 14.00.

Bytowanie i bezpieczeństwo

Na terenie campu w Sajgonie można było zjeść śniadanie, np. jajka na bekonie, kawa i owoce, natomiast obiad w prowadzonej przez Wietnamczyka stołówce dla delegacji polskiej (najczęściej smażona kura, czasami ryba, z ziemniakami lub ryżem, ogórkiem, pomidorem i cebulą). Kolacje, podobnie jak inni, przyrządzałem sam.

Przyjęło się, że w niedzielę obiad najczęściej gotowało się samodzielnie lub spożywało w restauracji. Żeby było weselej, przyrządzaliśmy go razem ze Stasiem Klimkiem i doktorem u mnie (miałem duży pokój i chyba najwięcej miejsca). Na pierwsze danie był barszcz moskiewski – smakował, na drugie – konserwa wołowa upitraszona z cebulą i herbata. Ten pierwszy, ugotowany przez nas obiad przeciągnął się do późna, gdyż odwiedziło nas jeszcze kilku znajomych. Będąc w Pekinie, kupiłem butelkę chińskiej whisky i trzeba było jej spróbować. Normalnie pije się ją z lodem i wodą, ale mnie taka nie smakowała. Zresztą, nie mieliśmy lodu.

Powoli przyzwyczajałem się do nowego otoczenia i obcych warunków. Nie mogłem przecież odgrodzić się od świata zewnętrznego. Powoli aklimatyzowałem się. Do tropiku mógł wyjechać tylko zdrowy człowiek. W tym celu przed wyjazdem przechodziłem szczegółowe badania lekarskie, które obejmowały badania internistyczne, laryngologiczne, neurologiczne, stomatologiczne oraz szczepienia przeciwko cholerze i ospie. Ci, którzy w jakiś sposób ukryli swoje schorzenie i oszukali badających ich lekarzy – przepłacili to życiem rychło po powrocie do kraju.

Pierwszy okres pobytu w tropiku w zupełnie odmiennych, ciężkich warunkach klimatycznych i obcym otoczeniu obyczajowym, językowym i pod każdym innym względem, a także obawa przed zakażeniem się różnymi chorobami były powodem częstego złego samopoczucia, chwilowych depresji i rozdrażnienia psychicznego. Starałem się być czynny, pisać listy do rodziny i znajomych, czytać, wreszcie uczyć się trochę, aby nie oddawać się rozmyślaniom, gdyż one były najniebezpieczniejsze.

Starałem się przede wszystkim racjonalnie odżywiać. Był to jeden z podstawowych warunków przetrwania tutaj w dobrym zdrowiu. Drogą pokarmową można było zarazić się czerwonką, durem brzusznym, cholerą, pasożytami jelitowymi, m.in. pełzakowicą (amebozą), różnymi rodzajami przywr, np. motylicą wątrobową, tasiemcem, włośnicą i wieloma groźnymi chorobami.

Niebezpieczny był lód, który wkładało się do napojów chłodzących. Był to wprawdzie lód sztuczny, ale jego kawałki bywały zakażone, ponieważ rąbano go w warunkach mało higienicznych – na podłodze. Kawałki lodu wyślizgiwały się z rąk, więc personel często przytrzymywał je przez brudne ścierki.

Najbezpieczniejsze były owoce, które miały łupinę i można było je samemu obrać: banany, papaje, ananasy, pomarańcze, mango, grejpfruty i inne. Przed obraniem myłem ręce i owoce przegotowaną wodą. Obieranie niektórych z nich, szczególnie ananasów, początkowo szło dość opornie.

Oprócz owoców najbardziej bezpieczne do spożycia, bez obawy zakażenia, były konserwy, oczywiście amerykańskie. W ciągu tak długiego czasu nie mogłem odżywiać się jedynie konserwami, gdyż nie zawierały witamin, poza tym szybko się przejadły, nawet ich zapach budził odrazę, np. parówki śniadaniowe. Najlepiej było jeść mięso wołowe lub drób, ale na to mogłem pozwolić sobie jedynie w Sajgonie, w restauracji na poziomie europejskim. Starałem się więc jeść dużo owoców, bo zawierały witaminy i sole mineralne.

Zdawałem sobie sprawę, że nie można w niczym przesadzać. Dopatrywanie się we wszystkim źródeł zakażenia może obrzydzić życie. Z drugiej strony, nie lekceważyłem podstawowych zasad higieny, przede wszystkim w zakresie żywienia.

W Wietnamie, podobnie jak w całej południowej Azji, bardzo rozpowszechnione było żucie betelu, rodzaju używki, ze świeżych liści pieprzu betelowego, które tubylcy smarowali mieszaniną wapna i roztartych orzechów areco catechu. Gryzienie tego specjału działało, podobno, pobudzająco i pasożytobójczo. Nie próbowałem, więc nie mogę potwierdzić. Podczas żucia betelu cała jama ustna i ślina zabarwiają się na intensywny czerwony kolor. Patrząc, miało się wrażenie, że cieknie krew. Żucie betelu ujemnie wpływa na zęby, które stają się zupełnie czarne, tzw. karakułowe zęby. Wietnamczycy ubarwili betel piękną legendą.

Po przyjeździe do Sajgonu zostałem zaszczepiony przeciwko dżumie, a kilk dni później przeciwko tyfusowi. Miałem z tymi zastrzykami spokój do końca roku. Po 3 miesiącach pobytu każdy z nas przechodził kwartalne badania laboratoryjne – badanie morfologiczne krwi, moczu i kału na cysty ameby. Mnie to czekało 20 października. Niekiedy terminy kwartalne nie były przestrzegane, opóźnienia dochodziły do 2–3 tygodni.

Mimo znośnych warunków bytowania, też zresztą różnych, warunki klimatyczne w przeważającej części Wietnamu były uznane powszechnie za trudne. Wszędzie czyhały różne choroby tropikalne. Szczególnie niebezpieczne było zarobaczenie pierwotniakiem – amebą. Jej cysty nie wykryte w porę (okres karencji około 4 miesiące) były nie do usunięcia z organizmu, doprowadzały do rozpadu wątroby bądź mózgu, a następstwie do zgonu. Liczne bombardowania były przyczyną nerwic i chorób psychicznych.

W czasie mego pobytu w Hanoi zginął od bomby kulkowej hinduski radiotelegrafista schodzący do schronu ziemnego. Został dosłownie podziurawiony. Również w Hanoi podczas atakowania w 1967 roku mostu Long Bien (długość 1650 m) na Rzece Czerwonej szoku doznał tłumacz delegacji polskiej. Samochód, którym jechał z lotniska, znalazł się akurat w tym czasie na przyczółku mostowym. Podczas kilkunastominutowego, falowego nalotu ukrył się wraz z innymi członkami delegacji w okolicznych wykrotach. Uraz był jednak tak silny i trwały, że nie mógł już wykonywać swoich obowiązków i po kilku tygodniach pod opieką lekarza wrócił do kraju. Znane mi są i inne wypadki z tego okresu.

Pełniąc dyżur w siedzibie delegacji polskiej MKNiK w Sajgonie, 7 lutego 1968 roku o godz. 17.55 otrzymałem następujący telegram z Hue: „Maślarczyk (szef wydziału operacyjnego – J.Z.) sytuacja pogarsza się z każdą chwilą, w sensie naszego bezpieczeństwa. Setki zabitych i rannych. Miasto w gruzach, most wysadzony. Liczymy tylko na szczęście. Pozdrowienia Wawrzyniak (kierownik polskiej Grupy Inspekcyjnej w Hue – J.Z.)".

O godz. 18.10 powiadomiłem o telegramie starszego doradcę wojskowego, Popiołka, i pełniącego obowiązki ambasadora, Stawskiego. Ich odpowiedź brzmiała: „Nic nie możemy

pomóc. Decyzja o ewakuacji jest. Misja łącznikowa zwróciła się do rządu. Odpowiedź miała być o godz. 15.30". Na moje pytanie, czy mam udać się do misji, Popiołek odpowiedział: „Raczej nie!". Wówczas nie zapanowałem nad nerwami. Czy rzeczywiście mogli im pomóc?

W ostatniej chwili Grupa Inspekcyjna w Hue uratowała się z wycofującymi się Amerykanami, wypływając barką na pełne morze, a stamtąd okrętem wojennym dotarli do Sajgonu. Krwawe walki w Hue trwały od 31 stycznia do 25 lutego 1969 roku.

Realizacja zadań w ramach Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie na pewno nie była ani bezpieczna, ani łatwa, a wynagrodzenie niewspółmierne do zadań oraz zagrożenia utraty zdrowia i życia.

Polacy trzymywali dietę żywnościową, która wynosiła około 10 dolarów amerykańskich dziennie, z tym, że połowę wypłacano w tzw. travellers check (specjalny rodzaj akredatywy pieniężnej) do wymiany w banku w dowolnym punkcie i połowę w miejscowej walucie – w piastrach (1 dolar amerykański = 118–120 piastrów). Za te pieniądze trzeba się było utrzymać. W kraju każdy członek misji otrzymywała kwotę dolarów w zależności od grupy zaszeregowania (I–VII). Będąc kierownikiem grupy inspekcyjnej miałem IV grupę i miesięczną premię (tak to nazywano) 120 dolarów amerykańskich. Najwyższą, I grupę, miał ambasador. Premią tą mogłem zadysponować dopiero po 3 miesiącach pobytu za granicą. Za pobyt w Wietnamie Północnym, w Hanoi, nie wypłacano diety pieniężnej, ponieważ zapewniano pełne dzienne wyżywienie. Dodatkowo można było także napić się kawy lub herbaty.

Przypuszczam, że partnerzy, zwłaszcza Kanadyjczycy, byli w znacznie lepszej sytuacji. Świadczyły o tym ich wypowiedzi, np. partner z Hue w stopniu majora przy piwie powiedział: „Już mam dość tych komisji. Po powrocie do kraju wychodzę z wojska, kupuję sobie jacht i będę pływać po Morzu Śródziemnym". Mnie po 10-miesięcznym pobycie stać było jedynie na kupno niższej klasy samochodu osobowego.

Grupa Inspekcyjna w Hue

22 sierpnia 1967 roku wyleciałem z lotniska Tan Son Nhut do Hue. Lot był przyjemny, pogoda bardzo ładna, widoczność doskonała. Fantastycznie wyglądały wstęgi rzek, rzeczek i kanałów nawadniających pola ryżowe. Zbiory, które odbywały się 3 razy do roku, były w różnym stadium wegetacji – jedne dopiero się zieleniły, drugie już kwitły szarawym kwieciem, inne znajdowały się zupełnie pod wodą. Pola były niewielkie, oddzielały je od siebie kilkanaście centymetrów wyższe od poziomu pól miedze, które utrzymywały na nich wodę. Osiedla położone w pobliżu większych rzek wyglądały jak wyspy. Można byłoby sparafrazować Mickiewicza: „A wszystko przypasane jakby wstęgą, miedzą zieloną. Tylko grusze na niej nie siedzą".

Osiedla znacznie przyjemniej wyglądają z góry niż przy bezpośrednim kontakcie z nimi. Nie czuć było specyficznego zapachu gotowanej strawy, który jest dość przykry. Przy osiedlach, na terenach nieurodzajnych, z góry widoczne były kręgi. Robiły wrażenie babek ulepionych z piachu przez dzieci podczas zabawy. Były to grobowce buddyjskie.

Leciałem nad lasami i górami. Zieleń szczytów też różna, od ciemnozielonej i brunatnej na wierzchołkach do soczystej w dolinach. Tam dopiero wyraźne stawały się linie grzbietu i ścieku. Wspaniałe lekcje poglądowe z terenoznawstwa. Między dwoma pasmami grzbietów

rozciągały się malownicze doliny poprzeplatane wstęgami rzek i dróg oraz szachownicą osiedli i pól. Pięknie również wyglądał brzeg morski z licznymi półwyspami i wyspami. Na brzegu czasami wąskie pasemka piachu, przeważnie występował jednak brzeg klifowy, stromo opadający do wody. Widać było również wyraźnie odcinającą się głębię od mielizn. Nad górami i wodą trochę rzucało, ale jeśli, to trwało tylko chwilę i było nawet przyjemne.

W Hue przebywałem od 22 sierpnia 1967 roku. Hue to stare miasto założone w roku 1635 w odległości około 12 km od Morza Południowochińskiego. W roku 1802 stało się stolicą zjednoczonego Wietnamu. Miasto uniwersyteckie. Rzeka Zapachów lub Rzeka Perfumowana – legenda głosiła, że cesarz skropił ją perfumami i stąd jej nazwa, przedzieliła stare miasto skupione wokół byłej cesarskiej twierdzy od dzielnicy mieszkaniowej i administracyjnej.

Twierdza została zbudowana na planie wielkiego kwadratu i otoczona wałami obronnymi i fosą. Jej budowę rozpoczęto w roku 1804, za panowania cesarza Gia-Long, i kontynuowano za panowania następnych. Wewnątrz znajdowały się zespoły pałacowe i pagody zdobne w purpurę i złoto, rzeźbione sarkofagi i mauzolea. Udało mi się zwiedzić to muzeum. Mniej więcej 5 km na północ od miasta, w Dolinie Grobowców znajdowały się zabytkowe wielopiętrowe pagody i groby cesarskie, które stanowiły oddzielne zespoły pałacowe. Najokazalszy z nich należy do cesarza Minh Mang, położony wśród pagórków i ogrodów najpiękniejszych wiosną, gdy kwitną lotosy. Niestety, warunki bezpieczeństwa nie pozwoliły na ich zwiedzanie.

Na lotnisku przywitali mnie kpt. Bogusław Stawski i tłumacz Marian Pytkowski. Zaraz po przybyciu spotkałem Kanadyjczyków – członków grupy. Jeden z nich przywitał mnie okrzykiem: „O, nowy Poldel". Przedstawiliśmy się. Zaprosiłem ich na odrobinę wiśniówki. Skorzystali. Nowo poznani Kanadyjczycy okazali się bardzo mili. Dalsza współpraca układała się dobrze. Spotykałem się z nimi również w innych miejscowościach i w różnych okolicznościach. Grupa inspekcyjna została przeniesiona do Hue z Gio Klinh, z rejonu strefy zdemilitaryzowanej po jej zajęciu przez wojsko. Była to grupa podwójna, tzn. każda delegacja składała się z 2 oficerów, którzy na przemian uczestniczyli w jej posiedzeniach. Grupa zbierała się codziennie o godz. 10.00 i wyrażała wobec oficera łącznikowego misji swoją chęć podjęcia mandatowych kontroli w strefie zdemilitaryzowanej. Zadawano wówczas następujące pytania:

1. Kiedy grupa może ponownie podjąć mandatowe kontrole w strefie zdemilitaryzowanej?

Odpowiedź oficera łącznikowego: „Grupa może ponownie rozpocząć kontrolę w strefie, kiedy moje propozycje zostaną zaakceptowane, tj. po przeniesieniu grupy do Quang Tri, na południe od Gio Linh.

2. Kiedy grupa może powrócić do swego poprzedniego stałego miejsca pobytu w Gio Linh?

Odpowiedź: „Grupa może powrócić do swego poprzedniego stałego miejsca w Gio Linh, kiedy otrzymam instrukcję Misji Południowowietnamskiej.

Uznano, że nie ma potrzeby poszukiwania innego miejsca poza stałym miejscem w Gio Linh. Ponadto sprawa została skierowana do Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli (IC), która miała w tej sprawie głos decydujący.

Pomimo systematycznego powtarzania na każdym posiedzeniu jednobrzmiących pytań, zadawanych przez przewodniczącego grupy (był nim zawsze Hindus) i otrzymywaniu zawsze takich samych odpowiedzi, posiedzenia odbywały się zawsze z zachowaniem pełnej powagi. Po wpisaniu pytań i odpowiedzi do księgi i podpisaniu przez poszczególnych członków grupy posiedzenie zamykano.

Czasu dla siebie miałem sporo, ale znaczną jego część musiałem przeznaczać na przygotowanie posiłków. Niestety, ze względu na brak stołówki trzeba było przygotować je samodzielnie. Przypominałem sobie potrawy przyrządzane w domu, przez żonę, ale o takich mogłem tylko pomarzyć. Obiad był nieskomplikowany, jednodaniowy, ale pożywny. Ponadto owoce, kawa, herbata, soki. Resztę czasu wolnego wykorzystywałem na spacery, zwiedzanie miasta, zakupy, czytanie, załatwianie korespondencji, a nawet zacząłem uczyć się języka francuskiego.

Siedziba grupy znajdowała się w hotelu Huong-Giang. Był to nowo wzniesiony budynek nad rzeką z tarasem długości około 60 m i widokiem na okolicę. Początkowo pełnił rolę hotelu i klubu rozrywkowego dla Amerykanów, ale po ataku bombowym ci przestali tu bywać. Budynek po częściowym remoncie przeznaczono dla grupy inspekcyjnej przeniesionej z Gio Linh, która zajmowała górne piętro, natomiast na parterze – wbrew przepisom – zamieszkali pracownicy ochrony i obsługi wraz z rodzinami.

Po przybyciu do Hue otrzymałem zawiadomienie przełożonych, aby bez specjalnej potrzeby nie wychodzić do miasta, a jeżeli już po zakupy żywności, to w towarzystwie. Obawiano się prowokacji politycznej. W związku z mającymi się odbyć wyborami – mieszkańcy Hue byli szczególnie krytycznie ustosunkowani do reżimu. Trwało to około miesiąca.

Trafiłem na upały, chociaż oczekiwano już tutaj nadejścia pory deszczowej, a więc i znacznego ochłodzenia. Na razie pociłem się jak nigdy dotąd. Pot spływał strużkami po całym ciele. Bałem się udaru z przegrzania i co gorsza, nigdzie nie można było znaleźć choć na chwilę ochłody. Wchodziłem pod prysznic, ale woda była więcej niż ciepła. W pokoju miałem co prawda wiatrak, ale był on jednak zdradliwy, bo mogłem się łatwo przeziębić. Częściowy brak szyb w oknach powodował dostęp komarów i innych owadów.

Ze względu na ograniczenie wyjść, wykorzystywałem taras do intensywnych spacerów. Rano i wieczorem przemierzałem go po 50 i więcej razy, co w sumie dawało około 6 km. Widok z tarasu miałem urozmaicony. Na rzece szerokości około 300 m pływało sporo dżonek. Były to łodzie z budami, które służyły za mieszkanie dla całej rodziny oraz inwentarza. Z niektórych z nich zarzucono sieci, ale połów był mizerny. Na horyzoncie z 3 stron góry – niewysokie, ale ładnie odcinały się od reszty terenu, początkowo zielone, z czasem zrobiły się czarne, bo zostały spalone napalmem. Można było również zobaczyć typowe naloty i bombardowanie celów z lotu nurkowego, prawdopodobnie odkrytej w górach bazy partyzanckiej lub ostrzał z helikopterów. Wokół bujna roślinność, palmy, bananowce, akacje i inne, których jeszcze wówczas nie zdołałem poznać.

Wieczorem – na tej szerokości geograficznej zmierzch trwał krótko i po 15 minutach była już noc – dzięki uprzejmości Kanadyjczyków, którzy mieli sprzęt filmowy i filmy, od czasu do czasu mogłem obejrzeć jakiś film, najczęściej propagandowy, ale był to jakiś przerywnik w tej monotonii. W smudze światła emitowanego przez projektor można było zobaczyć różne owady – od małych muszek do dużych motyli nocnych.

Zabezpieczenie się przed komarami – tam gdzie nie ma klimatyzacji – to rutynowa czynność przed spaniem. Najpierw trzeba było opuścić moskitierę zawieszoną na stojakach nad łóżkiem, zgasić światło i po wejściu do łoża szczelnie podwinąć siatkę pod materac. Po kilku minutach przy świetle latarki przeszukać zakamarki i załamania, czy jakiś komar tam się nie ukrył. Życie mnie nauczyło, że rytuału tego nie należy lekceważyć.

Tylko raz nie opuściłem na noc moskitiery. Rano całe ciało pokryte było czerwonymi śladami po ukłuciach. Po kilku godzinach plamy się połączyły. Cały byłem czerwony i opuchnięty. Miałem temperaturę. Po południu Kanadyjczyk zawiózł mnie do miejskiego szpitala. Tam zbadał mnie amerykański lekarza i zaordynował lek w pastylkach. Po dobie jego zażywania opuchlizna i znaki po komarach znikły. Szczęście, że nie były to widliszki. Odrazę budziły też wszechobecne szczury.

Miałem przydzielony samochód z kierowcą. Ponieważ wszystkie kontrole zostały zawieszone, wykorzystywałem go do przywożenia członków delegacji polskiej z lotniska i na lotnisko oraz zakupionych produktów żywnościowych. Owoce kupowałem na miejskim targowisku, natomiast chleb, ser, cukier, sól, ryż, wodę mineralną, kawę, herbatę, piwo itp. w sklepie prowadzonym przez Chinkę. Będąc tam z Marianem Pytkowskim – tłumaczem (znał język angielski, francuski, niemiecki), powstańcem warszawskim, poznałem Niemkę, żonę prof. Krainicka, kierownika katedry medycyny miejscowego uniwersytetu. Ona natomiast była nauczycielką języka angielskiego w jednej ze szkół.

Poznaliśmy się w sposób dość oryginalny. Wchodząc do sklepu, pozdrowiła nas po niemiecku i zapytała, czy jesteśmy Niemcami. Odpowiedziałem, że jesteśmy Polakami.

Kilkanaście dni później zostaliśmy zaproszeni do domu państwa Krainickich. Był wspaniały, kilkudaniowy obiad. Przygotowano nawet placki ziemniaczane, specjalnie dla nas – był to więc ukłon w naszą stronę. Tak dawno nie jadłem prawdziwego, domowego obiadu. Usługiwała nam konkubina byłego cesarza wietnamskiego Bao-Daja. W trakcie obiadu prowadziliśmy miłą pogawędkę. Profesor przyznał się do dalekiego polskiego pochodzenia. Dowiedziałem się, że byli w Wietnamie już od 6 lat i podpisali kontrakt jeszcze na rok. Tęsknili bardzo za Bawarią, gdzie był ich dom rodzinny, i za wnukami. Obiad upłynął w miłej atmosferze. Po nim poproszono nas do salonu, który nagle zapełnił się wieloma osobami. Byli to przyjaciele gospodarzy, lekarze różnych specjalności, zatrudnieni na uczelni i w szpitalu, wśród nich psychiatra, dr Erich Wulff, a także belgijski ksiądz katolicki, były więzień oświęcimski. Podano różne alkohole, wśród nich i polską „Wyborową". Rozmowa toczyła się na różne tematy. Ksiądz, który opiekował się prewentorium, mówił o kradzieży przez miejskich notabli pieniędzy pochodzących z darowizn od obywateli różnych państw europejskich. Dr Wulff opowiadał o swoich tragicznych obserwacjach i dramatycznych diagnozach. Po powrocie z Wietnamu składał w tej sprawie zeznania przed Komisją Russella („Trybuna Ludu" 1967, nr z 22 grudnia). To było bardzo miłe i pouczające dla mnie spotkanie. Serdecznie za nie podziękowałem miłym i gościnnym gospodarzom.

Dr Erich Wulff, psychiatra (znał język wietnamski), opowiadał podczas następnego spotkania o wizycie na wyspie Kondor, gdzie znajdowało się najcięższe więzienie odziedziczone po Francuzach. Więźniów trzymano tam w celach wykutych w skale i przykutych łańcuchami. Został poproszony o zbadanie młodego partyzanta z Frontu Wyzwolenia Narodowego, którego podejrzewano o chorobę umysłową. W rozmowie z lekarzem więzień stwierdził, że jest

zdrowy i prosi go o wydanie takiego rozpoznania władzom więziennym. Jeżeli doktor uzna go za umysłowo chorego, to będzie konał tutaj przez kilka miesięcy w okropnych mękach, a tak odejdzie z tego świata za kilka dni. Skoro czeka go tylko śmierć, więc niech nastąpi to jak najrychlej. Widząc warunki, w jakich przebywał ów więzień, doktor wydał opinię, że więzień jest zdrowy. Wydaje się, że zrozumiałem jego dramatyczną decyzję.

Ponieważ mój pobyt w Hue zbliżał się ku końcowi, napisałem również krótki list do państwa Krainickich z podziękowaniem za miłą znajomość. Zostawiłem go swemu zmiennikowi z prośbą o jego doręczenie. Zrobił to i częściej ich odwiedzał. Po powrocie do kraju dowiedziałem się, że Krainickowie zginęli w nie wyjaśnionych okolicznościach podczas walk w Hue toczonych przez siły Frontu Wyzwolenia Narodowego z wojskami reżimowymi i amerykańskimi. Ich ciała odnaleziono w zbiorowej mogile.

Walki o Hue i w Hue były niezwykle zacięte i krwawe, tak bowiem donosili korespondenci wojenni. 31 stycznia 1968 roku oddziały Frontu Wyzwolenia Narodowego wkroczyły do miasta. Wykorzystując zaskoczenie przeciwnika, już pierwszego dnia zajęły znaczną jego część. Wówczas prezydent Wietnamu Południowego, gen. Thieu, rozkaz: „Odbić Hue i to szybko". Opór wojsk wyzwoleńczych był jednak silny i zorganizowany, gdyż Hue padło dopiero 25 lutego, po prawie 4 tygodniach morderczych zmagań. Zginęło ponad 4 tys. mieszkańców, a ponad 100 tys. potrzebowało pomocy. 140-tysięczne miasto, które było najbardziej dostojnym symbolem pełnej chwały historii Wietnamu, legło w gruzach. Wówczas prawdopodobnie zginęli nasi znajomi.

Lotnisko było oddalone od centrum Hue o około 15 km na północ i podobnie jak miasto było położone przy głównej arterii komunikacyjnej kraju północ–południe (droga nr 1). Podczas mojego tam pobytu (sierpień–listopad) newralgiczne punkty na tej drodze, tj. mostki i przepusty, często uprzednio wysadzane przez partyzantów, były pilnie strzeżone przez żołnierzy amerykańskich uzbrojonych w broń maszynową. Objazd, szczególnie przez ciężkie wozy wojskowe, ze względu na grząski teren był raczej niemożliwy. Przejeżdżając, widziałem wymizerowane, zmęczone twarze żołnierzy. Ich wygląd świadczył, że nie bardzo byli skorzy do wojaczki, ale trwali. Wartownik za każdym razem prezentował bronią (byłem zawsze w ubiorze wojskowym) – brał mnie prawdopodobnie za amerykańskiego generała ze względu na gwiazdki.

Lotnisko było wykorzystywane przede wszystkim przez samoloty pasażerskie w komunikacji krajowej. Szczególnie często lądowały samoloty transportowo-sanitarne i helikoptery, z których wynoszono rannych eskortowanych przez zabłoconych żołnierzy z psami. Niektórzy ranni byli mocno zakrwawieni, z zainstalowaną kroplówką, innych, zszokowanych i wyrywających się, przytrzymywali sanitariusze. Były to sceny tylko dla ludzi o silnych nerwach. Rannych przenoszono do usytuowanego tuż przy lotnisku szpitala polowego. Obok niego były ułożone gumowe worki i długie metalowe skrzynie – trumny przeznaczone dla zmarłych żołnierzy amerykańskich.

Na taki widok trafił przybyły z Sajgonu tłumacz Ryszard K., zmiennik Mariana P. Zobaczywszy to, chwycił się za głowę, doznał szoku i zaczął lamentować. Dopiero kilka męskich twardych słów przywróciło go do rzeczywistości.

Co miesiąc odbywało się tzw. święto grupy, które polegało na tym, że przewodniczący w imieniu jej członków zapraszał przedstawicieli miejscowych władz lokalnych na przyjęcie.

Było piwo, woda, whisky, coca-cola, orzeszki ziemne oraz ser pokrojony w drobną kostkę. Ponieważ nikt z zaproszonych nie przybył, pozostaliśmy sami – członkowie grupy. Przyjęcie było udane, przebiegało w miłej atmosferze, pokazywaliśmy nawet zdjęcia rodzinne. Rozmawialiśmy jak starzy przyjaciele, popijając trunki, których było sporo.

Po odwołaniu ograniczeń w wychodzeniu do miasta zacząłem coraz częściej opuszczać hotel i zwiedzać zarówno miasto, jak i jego okolice. W kilkuosobowym gronie wybrałem się na jego peryferie. Idąc i rozglądając się, jak to przy zwiedzaniu, zbliżyliśmy się na odległość kilkudziesięciu metrów do grupy chłopców. Wówczas ci sięgnęli po kamienie, a nawet kilku z nich zaczęło je rzucać w naszą stronę. Tu, w odróżnieniu od Hanoi, słowo „Ba-Lan" (Polak) nic im nie mówiło. Musieliśmy zawrócić. Dopiero później dowiedziałem się, że młodzi Wietnamczycy każdego spotkanego białego człowieka uważają za Amerykanina i odruchowo sięgają po kamienie. Starsi w takiej sytuacji spluwają z niesmakiem.

Mój pobyt w Hue dobiegał końca. Kilka dni wcześniej wysłałem do oficera rotacyjnego list z prośbą o przydzielenie na czas pobytu w Sajgonie pokoju w hotelu od szóstego piętra wzwyż, gdyż na taką wysokość szczury już podobno nie docierały. Pragnąłem chociaż kilka dni odpocząć od ich widoku.

Na ostatnim posiedzeniu grupy w Hue z moim udziałem i moim następcą (zmiennikiem) podziękowałem partnerom za miłą współpracę i stworzenie serdecznej atmosfery. Wyraziłem nadzieję, że będą one podobne podczas pobytu mego następcy, ppłk. Stanisława Klimka. Wszystkim życzyłem wszystkiego najlepszego. Powyższe słowa wypowiedziałem po angielsku. 17 listopada 1967 roku wyleciałem do Sajgonu.

Przypuszczam, że nasi partnerzy sporządzili nasze, Polakach, charakterystyki, a wyjeżdżający na grupę, w przeciwieństwie do nas, wiedzieli z kim będą mieli do czynienia. My natomiast nic nie wiedzieliśmy o naszych ewentualnych partnerach, chyba że już wcześniej poznaliśmy ich osobiście. O niektórych z nas mieli oni wręcz złe zdanie (na szczęście były to przypadki sporadyczne).

Grupa Inspekcyjna w Qui Nhon

Po 3 dobach spędzonych w Sajgonie, 20 listopada wyleciałem do Qui Nhon. To miasto portowe położone na niewielkim skrawku równiny otoczonej z pozostałych stron wzniesieniami. Oddalone o około 500 km na północ od Sajgonu. Lot trwał około 2 godziny. Widoki z góry wspaniałe. Wciskające się w głąb lądu morze przy klifowych brzegach tworzyło coś w rodzaju fiordów.

Na lotnisku przywitał mnie ppłk Marian Wieczerzak, którego zmieniałem, w towarzystwie mjr. Rawata – Hindusa. Poznałem go w Hue. To rzadki wypadek, aby przewodniczący grupy witał członka grupy innej delegacji.

Grupa była zakwaterowana w jednopiętrowej willi, położonej około 300 m od zatoki morskiej. Każdy członek grupy posiadał oddzielny pokój, natomiast łazienkę i lodówkę dzieliłem z tłumaczem.

Do picia można było używać tylko wody filtrowanej i następnie gotowanej nie krócej niż 15 minut. Znaczny odsetek miejscowej ludności chorował na zarobaczenie przewodu pokarmowego. Życie uprzykrzała skomplikowana sytuacja z prądem elektrycznym. Nigdy nie

było wiadomo kiedy i na jak długo będą wyłączenia, a one powtarzały się często, w różnych porach dniach i w najbardziej nieodpowiednich momentach.

Klimat charakteryzował się dużą liczbą dni słonecznych, średnia temperatura dnia w tym czasie wynosiła około 38˚C. Nasycenie powietrza dużą ilością pary wodnej sprawiało, że upały były bardzo męczące. Jedynie wiatr wiejący od strony morza przynosił ochłodzenie nocą.

Pokój bez klimatyzacji był wyposażony w przenośny wentylator. Przez nieumiejętne jego wykorzystywanie, chłodzenie z bliskiej odległości, łatwo się było przeziębić – doświadczyłem tego. Na miejscu była biblioteka licząca 35 tomów.

Praca Grupy Inspekcyjnej w Qui Nhon ograniczała się do codziennej kontroli portu i lotniska, natomiast przewidziane dla grupy ruchome kontrole mandatowe nie odbywały się z powodu braku bezpieczeństwa, tak zawsze twierdził oficer łącznikowy. W czasie pobytu w Qui Nhon starałem się, aby kontrole portu i lotniska odbywały się w różnych godzinach, co z trudem czasami się udawało.

W porcie i na lotnisku obowiązywały ustalone od wielu lat przez Misję Łącznikową Wietnamu Południowego punkty obserwacyjne. Uniemożliwiały one swobodne poruszanie się grupy inspekcyjnej. Tych postanowień nie akceptowała Międzynarodowa Komisja Nadzoru i Kontroli, gdyż ograniczała jej prawa i obowiązki. Taki stan zastałem i mimo prób ich przełamania trwał dalej. Każda prośba o przesunięcie miejsca kontroli, chociażby o kilkanaście kroków, spotykała się z kategoryczną odmową.

Kontrola lotniska ograniczała się więc do liczenia nielicznych samolotów bojowych i śmigłowców będących w zasięgu widoczności. Pas startowy i miejsca postoju samolotów znajdowały się w całości poza zasięgiem naszego wzroku, zasłaniały je zabudowania lotniskowe. W konkretnym działaniu można było poznać stosunek partnerów do zaistniałej sytuacji w Wietnamie i ich interpretację obowiązujących przepisów i dokumentów. Oto przykłady.

Podczas jednej z kontroli lotniska stwierdziłem, że znajdują się na nim 2 śmigłowce amerykańskie. Zwróciłem się do przewodniczącego grupy, aby zechciał zapytać oficera łącznikowego, czy grupa może skontrolować te śmigłowce. Zapytanie należało kierować tylko do przewodniczącego grupy, który uzgadniał pytania z następnym partnerem i dopiero zadawał je oficerowi łącznikowemu. Zadał takie pytanie, ale odpowiedź była odmowna.

Powołałem się wówczas na załącznik „P" pkt 10 (b) instrukcji dla grup stałych i ich elementów ruchomych: „(...) w wypadku, gdy tereny wojskowe na lotnisku nie są grupom dostępne, strony powinny wyznaczyć miejsca parkingu, gdzie wszystkie obce samoloty (śmigłowce) wojskowe będą po wylądowaniu podprowadzane dla dokonania fizycznej kontroli przez Grupę Inspekcyjną zanim zostaną odprowadzone na tereny wojskowe".

Początkowo Kanadyjczyk (mjr Crew) przekonywał, że skoro jest punkt obserwacyjny, to jest to jednoznaczne. Hindus (mjr Randhir Sing) robił wrażenie, że tych przepisów nie zna. Jałowa dyskusja toczyła się raczej między mną a Kanadyjczykiem, który po zapoznaniu się z przytoczonym tekstem w instrukcji przyznał mi rację. Dalsza dyskusja została jednak odłożona do następnego dnia, aby dokładniej przestudiować instrukcję, zapoznać się z tygodniowymi raportami grupy i innymi dokumentami.

Następnego dnia po kontroli, w porcie zastaliśmy 504 bomby lotnicze, powróciliśmy do przerwanej poprzednio dyskusji. Kanadyjczyk starał się udowodnić, że podobne zapisy już

były, natomiast ja pokazałem mu „Kompendium decyzji Komitetu Ambasadorów i Komitetu Operacyjnego za lata 1956–1965", w którego punkcie 12.02 czytamy: „(...) nie należy nadsyłać monitów aż do czasu upłynięcia czterech tygodni od czasu ich przekazania". Podobny zapis był z 16 kwietnia 1967 roku, czyli pół roku temu.

Ponadto starał się udowodnić, że nie ma „obcych" samolotów. Poprosiłem, aby pokazał w obowiązujących nas dokumentach adnotacje, że amerykański samolot lub też okręt nie są obce. Zaproponowałem, że skoro różnie rozumiemy pojęcie „obcy", powinniśmy zapisać to w raporcie tygodniowym w punkcie 10. Komisja w Sajgonie ma obowiązek natychmiast zebrać się i udzielić nam wyjaśnień. Kanadyjczyk z uporem powtarzał, że się nie zgadza, Hindus był po jego stronie. Dążyli do kompromisu (sądzę, że nie chcieli się publicznie kompromitować, wiedząc dokładnie, że amerykański okręt lub samolot w Wietnamie jest obcy). Zaproponowali, że każdy z nich napisze do swojej delegacji o wyjaśnienie pojęcia „obcy". Zgodziłem się pod warunkiem, że pozostanie ślad naszej dyskusji. Poprosili o propozycję zapisu.

Proponowałem: „Członkowie grupy po dyskusji uzgodnili, że każdy z członków wyśle do swojej delegacji pismo z prośbą o wyjaśnienie załącznika «P» do «Instrukcji dla grup stałych...», a szczególnie jak należy rozumieć «obcy samolot», «obcy statek», gdyż interpretacja powyższego załącznika przez członków grupy jest różna".

Po tej propozycji obaj zaczęli się wycofywać, że to jest ich prywatna sprawa i o tym nie musi być żadnej wzmianki. Po trwającej nadal dyskusji (w sumie ponad 3 godziny) zadano oficerowi łącznikowemu kilka pytań odnośnie załączników „E" i „P" do „Instrukcji dla grup stałych....". Dotyczyły one dostarczania grupie na każde żądanie dokumentów stwierdzających przynależność statku (okrętu) lub samolotu, ich szczegółowego ładunku, miejsca i daty wylotu (wypłynięcia) i miejsca przeznaczenia.

W odpowiedzi oficera łącznikowego stwierdzono, że w interesie bezpieczeństwa władze portowe nie będą dostarczały żadnych szczegółów, o które grupa prosi. On może dostarczać tylko wykaz statków w porcie, który też był zawsze nieaktualny. Żałował, że nie może zapewnić innego miejsca parkingowego, poza wyznaczonymi punktami obserwacyjnymi, dla samolotów celem dokonania kontroli fizycznej (załącznik „P" punkt 10 b).

Zarówno w porcie, jak i na lotnisku grupa mogła przeprowadzać kontrolę tylko z wyznaczonego miejsca. Podczas kilku kontroli stwierdziła wielką liczbę – od 392 do 576 – bomb lotniczych znajdujących się na wagonach (platformach) kolejowych strzeżonych przez żołnierzy amerykańskich. Na pytanie grupy, skąd one pochodzą i dokąd będą transportowane, oficer łącznikowy przeciągał sprawę, by wreszcie odpowiedzieć: „Władze portowe oświadczają, że wagony z amunicją były w ruchu wewnętrznym i żadne dalsze szczegóły ze względów bezpieczeństwa nie mogą być dostarczane".

Po takim oświadczeniu zapytałem moich współpracowników, czy są zadowoleni z odpowiedzi. Kanadyjczyk: „Oświadczenie oficera łącznikowego jest dla mnie wystarczające i wierzę, że transport był w ruchu wewnętrznym".

Ja: „Oświadczenie oficera łącznikowego jest dla mnie niewystarczające i mam prawo mu nie wierzyć, skoro nie przedstawia żadnych dokumentów potwierdzających, że jest to ruch wewnętrzny (załącznik «E» do »Instrukcji dla grup inspekcyjnych...»).

Kanadyjczyk: „Może pan pisać oświadczenie mniejszościowe".

Ja: „Chodzi o jednomyślność grupy, a nie o moją opinie. Skoro stwierdzamy, że bomby są materiałem wojennym i są strzeżone przez żołnierzy amerykańskich, a nie przedstawiają nam dokumentów potwierdzających, że jest to ruch wewnętrzny, więc jest to pogwałcenie artykułu 17 uchwał genewskich «Zakaz wprowadzania uzbrojenia». Powinniśmy w jakiś sposób zawiadamiać o tym Komisję. Należy wyciągnąć wnioski z oświadczeń oficera łącznikowego i przedstawić Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli nasze propozycje".

Hindus (przewodniczący): „Czynimy to codziennie, zapisując stwierdzane fakty".

Kanadyjczyk: „Jestem żołnierzem, a nie politykiem. Od wyciągania wniosków są politycy w Sajgonie".

Ja: „Też jestem tylko żołnierzem i mam prawo przypuszczać, że rzemiosło wojskowe nie jest nam obce. Tutaj przecież widzimy systematyczne naruszanie uchwał genewskich, np. transporty bomb. Podczas mojego tutaj pobytu, w ciągu miesiąca zanotowaliśmy 5 transportów strzeżonych przez żołnierzy amerykańskich. Powinniśmy krytycznie podejść do oświadczeń oficera łącznikowego".

Hindus: „Jaki zapis Pan proponuje?".

Ja: „W Qui Nhon systematycznie gwałcone są uchwały genewskie, a zwłaszcza artykuł 17 (wwożenie bomb, LST). Praca grupy jest bardzo ograniczona i nie jest ona w stanie wykonywać swoich zadań mandatowych. Statki są rozładowywane bezpośrednio na samochody bądź na platformy kolejowe. Linia kolejowa biegnie wzdłuż nadbrzeża i następnie rozgałęzia się w kierunku lotniska. Grupa nie ma do nich dostępu, gdyż prowadzi obserwację tylko z jednego miejsca wyznaczonego przez oficera łącznikowego".

Następnego dnia podczas przejazdu grupy na kontrolę portu, z bramy wiodącej do części portu, do której nie mamy wstępu, wyjechała ciężarówka załadowana amunicją artyleryjską (były to naboje do armat 155 mm). Nasz samochód zatrzymał się 50–60 m od pojazdu z amunicją, który też się zatrzymał. Zwróciłem się do przewodniczącego z prośbą o cofnięcie naszego samochodu, aby partnerzy mogli lepiej zobaczyć ładunek. Hindus i Kanadyjczyk oświadczyli, że widzą ją dobrze z miejsca, w którym się znajdujemy.

W wigilię Bożego Narodzenia podczas kontroli portu ponownie zastaliśmy 576 bomb w wagonach kolejowych. Oficer łącznikowy zapytany skąd przybył transport i jakie jest jego przeznaczenie (miejsce docelowe), odpowiedział, że jest to transport wewnętrzny i na to nie ma żadnych dokumentów. Grupa po dyskusji wyraziła swoje niezadowolenie wobec oficera łącznikowego za utrudnianie jej pracy, nie przedstawianie w zasadzie żadnych dokumentów. Postanowiła powiadomić o tym Komisję, wpisując do tygodniowego raportu w punkcie 10 „Akcja pożądana ze strony Komisji" (podaję w dosłownym brzmieniu): „Prosi się o przedsięwzięcie akcji wobec raportu grupy odnośnie kontroli z 24 grudnia 1967 roku, ponieważ wówczas grupa nie otrzymała zadowalającej odpowiedzi ze strony oficera łącznikowego, gdy został on poproszony przez grupę o przedstawienie dokumentów w związku z ruchem bomb zaobserwowanym w porcie".

Podczas kolejnej kontroli na pewnym obszarze portu grupa zauważyła załadowaną ciężką amunicją ciężarówkę, która wyjeżdżała z bramy strzeżonej przez amerykańską Security Guard i kierowała się w stronę miasta. Na pytanie, czy grupa mogłaby udać się do tamtej części portu, oficer łącznikowy odmówił, motywując brakiem bezpieczeństwa.

Kanadyjczyk uważał, że nie powinniśmy zadawać takich pytań. Odpowiedziałem, że powinniśmy zadawać takie pytania, gdyż jesteśmy tu nie po to, żeby biernie rejestrować fakty, ale aktywnie uczestniczyć w każdej kontroli. Nasze obowiązki określają stosowne dokumenty.

Z przytoczonych faktów wyłania się postawa partnerów. Kanadyjczycy byli proamerykańscy i trudno się im dziwić. Uważali walkę Amerykanów z komunizmem za słuszną. Wprawdzie nie wypowiadali się publicznie na ten temat, ale potwierdzało to ich postępowanie. Nie chcieli – lub może nie mogli – widzieć bestialstw tej wojny i wyniszczających obydwie strony działań.

Z jednej strony masy uchodźców z terenów intensywnych walk i bombardowań do Sajgonu i Qui Nhon (nie mówię o innych miejscowościach, gdyż tam nie byłem) i bardzo trudne warunki bytowe, a z drugiej – gumowe worki i aluminiowe trumny przeznaczone dla martwych Amerykanów. Kanadyjczycy mieli z Amerykanami wspólny język, stołowali się w ich kasynach, zawiązywali nowe przyjaźnie i odwiedzali się na wydawanych przyjęciach.

Hindusi natomiast wykazali dużą chwiejność, w błahych sprawach popierali Polaków, ale w zasadniczych byli raczej po stronie Kanadyjczyków. Miałem okazję przekonać się wówczas, z jakim uporem bronili straconych pozycji.

W takich warunkach trzeba było wykazać opanowanie, refleks, trzeźwość umysłu, znajomość obowiązujących przepisów, a nieraz i poczucie humoru. Czy można było inaczej niż humorystycznie zareagować na stwierdzenie Kanadyjczyka (podpułkownik): „Na platformie kolejowej znajdują się nie bomby lotnicze, tylko coś w kształcie beczki". Odpowiedziałem wówczas, że dziwne są te beczki, zbyt pękate, a zamiast dna mają ostry czubek i muszą być bardzo cenne, skoro pilnują je żołnierze amerykańscy. Nawet oficer łącznikowy uśmiechnął się kącikami ust. Już nigdy więcej nie porównywał bomby do beczki. Musiałem znaleźć wspólny język z partnerami, aby nie stać się obiektem niepochlebnych komentarzy.

W połowie grudnia 1967 roku odbyło się tzw. Team Party (święto grupy). Zaproszono z zewnątrz 15 osób, przyszło 3 Hindusów i 2 Francuzki, m.in. kierowniczka prewentorium dla sierot zupełnych. Przebywało w nim około 30 dzieci od niemowląt do 7–8-latków. Były okaleczone, oślepione bądź trwale zszokowane. Była to kropla w morzu potrzeb. Utrzymywane było z pomocy charytatywnej organizowanej przez obywateli państw zachodnich: Francji, Belgii, Wielkiej Brytanii, Niemieckiej Republiki Federalnej i Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Sądziłem, że Nowy Rok spędzę w większym gronie w Sajgonie, ale obiektywne okoliczności sprawiły, że pozostałem w Qui Nhon. Miasto przed Bożym Narodzeniem przybrało odświętny wygląd. W niektórych oknach wystawowych pojawiły się nawet przybrane drzewka iglaste. Przy kościele katolickim zbudowano specjalne rusztowanie pokryte brezentem, który udrapowano w formie skały z grotą wyobrażającą stajenkę z figurami wewnątrz. Było to bardzo oryginalne.

Miasto było gęsto zaludnione. Gęstość powiększała jeszcze duża liczba uciekinierów z miejsc, gdzie toczyły się bezpośrednie działania wojenne. Uciekinierzy gnieździli się na peryferiach miasta. Z rozbitych skrzynek, pordzewiałej blachy i z nadpróchniałych desek klecili naprędce budy, przykrywając je strzępami papy, folii i liśćmi. Ściany tych nędznych budowli często były odrutowane, aby się trzymały. Niektóre z nich wyglądały jak klatki dla

królików, były tylko nieco większe. Mieszkały w nich całe rodziny, a w niektórych znajdował się nawet sklepik. Podobnie w Hue wyglądały dżonki, tyle, że tamte były bardziej okazałe.

W okolicach Qui Nhon było wiele zabytków historycznych, których, niestety nie można było zwiedzać z powodu braku bezpieczeństwa. W samym mieście na uwagę zasługiwał z daleka widoczny obelisk-grobowiec królów syjamskich z XI wieku. Podobno jako spoiwa do łączenia bloków kamiennych użyto zaprawy z miodu i wody morskiej.

Gdy pojawialiśmy się w mieście (spacerowaliśmy najczęściej razem), ruszali do ataku stręczyciele. Brat oferował siostrę, ojciec córkę (one girl, very fine, number one – jedna dziewczyna, bardzo dobra, numer jeden). „Number one" oznaczało coś najlepszego.

W mieście spotykałem wielu żołnierzy i podoficerów amerykańskich. Niektórzy byli wyjątkowo niechlujni. Prawdopodobnie wyrwali się prosto z pola walki. Zarośnięci, nieogoleni i brudni, często w porwanych spodniach i butach oblepionych błotem, w hełmach, furażerkach, kapeluszach bądź bez nakrycia głowy. Podchmieleni wędrowali z butelką whisky w ręku bądź w kieszeniach od baru do baru. Od godz.19.00 obowiązywała ich godzina policyjna. Nie jeden z nich przeżył piekło w tej wojnie. Wielu stawiało sobie zapewne pytanie: „Może to ostatnia przepustka w moim życiu, może ostatni raz wyrwałem się do miasta. Każdy chciał żyć chwilą, używać świata na ile starczy sił i pieniędzy.

Na ulicy barów znajdował się posterunek Military Police, obsadzony przez żołnierzy południowokoreańskich. Trzeba przyznać, że wkraczali do akcji szybko, energicznie i skutecznie wszędzie tam, gdzie podchmieleni żołnierze (boys) wyraźnie przekraczali granice porządku publicznego.

Oficerów amerykańskich w mieście nie widziałem, podobno mieli zakaz wychodzenia do miasta. Spotkałem kilku z nich na lotnisku, gdy oczekiwałem na przylot lekarza. Jeden z nich, por. Brown, nawiązał ze mną rozmowę. Był w towarzystwie dwóch poruczników. Od szeregowców i podoficerów odróżniały ich oznaki posiadanych stopni wojskowych. W ręku mieli worki podróżne. Por. Brown zapytał mnie, czy jestem Kanadyjczykiem, odpowiedziałem, że jestem Polakiem. Podobał mu się mój pas (byłem w mundurze). Wspomniał, że jego dziadek Słonimski też był Polakiem, ale on, Brown, już po polsku nie umie. Poczęstował mnie cygarem. Po kilkuminutowej rozmowie Amerykanie odeszli, czekali na samolot do Dana Nang. Byli smutni.

Zbliżał się termin szczepienia przeciw cholerze, a ja musiałem pozostać w Qui Nhon. Przyleciał więc mój zacny przyjaciel, płk dr Jan Gliszczyński, i zrobił zastrzyk. Niestety, po kilku godzinach odleciał do Sajgonu.

Rok 1968 rozpocząłem w Qui Nhon i byłem tam do 23 stycznia. W tym czasie Andrzeja Dobrzyńskiego zmienił Kazimierz Kołakowski, a kontrole odbywały się jak poprzednio. 22 stycznia 1968 roku zmienił mnie ppłk Michasiewicz, a następnego dnia odleciałem do Sajgonu.

Święto Roku Księżycowego

W Sajgonie czekała na mnie paczka od żony, a w niej m.in. sucha kiełbasa i butelka wódki od szwagra z napisem na etykiecie „Jasiu na zdrowie". Zaprosiłem kilku kolegów na skromne przyjęcie, aby otrzymanym alkoholem wznieść toast. Przyjemnie było spotkać się po kilku miesiącach z kolegami i pogawędzić o różnych sprawach, tym bardziej że niektórzy z nich przygotowywali się do odlotu do kraju.

W Sajgonie trafiłem na przygotowania do Nowego Roku Księżycowego (Tet), który był obchodzony tutaj bardzo uroczyście. Jest świętem sytości i trwa kilka dni. Każdy mieszkaniec tego kraju, nawet najbiedniejszy, oszczędza cały rok, żeby móc pozwolić sobie na coś lepszego właśnie w te dni. Rodziny spędzają czas na ucztowaniu i spotkaniach. Należało też przygotować większe zapasy żywności, ponieważ wszystkie sklepy i instytucje miały być zamknięte od 29 stycznia do 1 lutego włącznie. Okazało się, że trwało to dłużej.

Ogromny plac przed hotelem usłany był kwiatami i różnymi krzewami w doniczkach. Były brzoskwinie, mandarynki, kaktusy i specjalnie strzyżone drzewka w kształcie zwierząt. Między tym morzem kwiatów i zieleni kręciło się mnóstwo ludzi, pozując na ich tle do zdjęć. Wietnamczycy lubią kwiaty. W okresie Święta Tet dekorują nimi domy, a szczęście mają przynieść 6-płatkowe kwiaty brzoskwini.

Od wczesnego popołudnia do późnej nocy na ulicach, na każdym balkonie, podwórku, przed wejściem do domów, dosłownie wszędzie wybuchały petardy różnej wielkości i o różnym natężeniu dźwięku. Dowcipnisie wrzucali je nawet do korytarzy w hotelu, co było już nie do zniesienia. Byli i tacy, którzy z najwyżej położonych balkonów kilkupiętrowych domów opuszczali taśmę z setkami petard połączonych wspólnym lontem. Wybuchały one co kilka sekund, dając odgłos jednostajnie przerywanego dźwięku. Tej świątecznej kanonadzie towarzyszyła też inna, wojenna. W blasku sztucznych ogni i huku petard nastąpiło uderzenie partyzantów. Z komunikatu radiowego dowiedziałem się, że leśni ludzie wkroczyli do około 40 miast, w tym do Sajgonu. W mieście toczyły się walki, a ich odgłosy brałem – nie tylko ja – za huk świątecznych petard. Z oddali słychać było terkot wystrzałów i odgłos wybuchających bomb.

Udało mi się dostać na dach 11-piętrowego hotelu „Oskar", by stamtąd zobaczyć, co się działo. Ulicą przejeżdżały amerykańskie patrole w jeepach i samochodach pancernych z karabinami gotowymi do strzału, oczywiście w hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Na dachu, z którego doskonale było widać najbliższe otoczenie, za każdą nadbudówką znajdowali się strzelcy wyborowi gotowi do oddania strzału.

Akcja partyzantów była skierowana przede wszystkim na ambasadę Stanów Zjednoczonych, pałac prezydencki oraz inne ważne obiekty, w tym radiostację i hotele przeznaczone dla dostojników i oficerów amerykańskich. O tym też dowiedziałem się z radia. Żołnierze Frontu Wyzwolenia Narodowego działali wszędzie w warunkach pełnego zaskoczenia. Często nadjeżdżali w amerykańskich jeepach, ubrani w mundury armii południowowietnamskiej. Spowodowali poważne zniszczenia w zaatakowanych obiektach. Opanowali częściowo budynek radia, który oddziały reżimowe odbiły dopiero po krwawych walkach. Najbardziej spektakularnym wyczynem było wkroczenie partyzantów na teren ambasady Stanów Zjednoczonych Ameryki i przebywanie tam ponad 6 godzin. Niestety, wszyscy członkowie tego wyczynu, było ich około 20, zginęli. Podobnie było z pałacem prezydenckim, który odbito dopiero po 36 godzinach zaciętych walk. Sajgon naznaczony był „krwią i śmiercią". Między godz. 14.00 a 8.00 rano obowiązywała godzina policyjna. Wystąpiły trudności z zakupem żywności. Sklepy i restauracje były zamknięte, barochoła nieczynna. Miałem trochę zapasów, więc głodu nie odczułem. Gorzej było z wodą, której zabrakło od parteru wzwyż, a ja mieszkałem na 6 piętrze. Uszkodzona została elektrownia, więc włączono miejscowe agregaty, które zapewniały jedynie oświetlenie i klimatyzację w pokojach. Windy były

nieczynne. Szczególnie dotkliwy był brak wody. Miałem zaledwie cztery butelki o pojemności ¼ l każda. Aby je napełnić, musiałem zejść i ponownie wejść na 6 piętro. Trzeba było obrócić kilka razy, aby mieć wodę na herbatę i do mycia. Przy temperaturze 30˚C pot spływał ciurkiem. Zacząłem cuchnąć, a o kąpieli można było jedynie pomarzyć. Dopiero teraz doceniłem dobrodziejstwo wody.

Wyjście na ulicę było ryzykowne. Dla partyzantów każdy biały człowiek był Amerykaninem, natomiast policja południowowietnamska w każdym przechodniu widziała utajnionego partyzanta.

Lotnisko cywilne było zamknięte. Sajgon został odcięty od świata i mój wyjazd do Hanoi nastąpił dopiero 9 lutego.

Hanoi

Wieczorem 9 lutego samolotem należącym do Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli przyleciałem do Hanoi, na lotnisko Gia Lam. Podróż była przyjemna, z przerwami w Phnom Penh i Vientiane. Podczas lotu niewiele widziałem, ponieważ pułap chmur był niski i lecieliśmy przeważnie w nich lub nad nimi. Miasto było oświetlone, a wokół panowała cisza i wzorowy porządek. Kontrola paszportów odbyła się bardzo sprawnie. Temperatura powietrza była tutaj znacznie niższa niż w Sajgonie, różnica wynosiła około 20˚C. Nie przypuszczałem, że będąc w tropiku, można trząść się z chłodu. Dobrze, że zabrałem sweterek i podpinkę pod płaszcz ortalionowy, okazały się niezwykle przydatne.

Przywitano mnie wylewnie, jak człowieka z innego świata. Zamieszkałem w hotelu, w którym już byłem poprzednio. Pokój był duży, łazienka z ciepłą wodą (nie było tego w Sajgonie).

Okolice Hanoi, które widziałem podczas przejazdu z lotniska do hotelu, były przeważnie zniszczone, ale na drogach panował wzorowy porządek. Nie widziałem stosów śmieci, jak w Sajgonie i w miastach na południu, w których miałem możność przebywać. Hanoi to piękne miasto. Mimo pożogi wojennej i wielu zniszczeń w wyniku bombardowań przez lotnictwo Stanów Zjednoczonych Ameryki, zachowało swą atrakcyjność i znaczenie. To największy ośrodek przemysłowy i kulturalno-oświatowy kraju. Rozwinięty był przemysł metalowy, chemiczny, włókienniczy, drzewny, ceramiczny, skórzany i spożywczy. To również ważny węzeł kolejowy (zniszczony i w tym czasie nieczynny), drogowy i lotniczy (lotnisko Gia Lam). Mieściły się tu szkoły wyższe, instytuty naukowo-badawcze, muzea, teatry i kina oraz ogród botaniczny. Hanoi jest miastem ogromnej liczby zabytków kultury materialnej narodu wietnamskiego. Znajdowało się tu około 400 pagód i innych świątyń. Jednym z najważniejszych i najpiękniejszych zabytków jest pagoda „Na jednej kolumnie" z XI wieku, zrekonstruowana w wieku XX która swoim wyglądem przypomina kwiat lotosu.

Historia Hanoi i Wietnamu przepełniona jest baśniowymi opowieściami, umiejętnie i ciekawie przekazywanymi przez oprowadzających przewodników. Miasto zostało założone w VI wieku, od 767 roku było twierdzą systematycznie rozbudowywaną. W roku 1010 zostało stolicą kraju. W XV wieku – zniszczone przez najazd chiński. W roku 1804 cesarz wietnamski Gia Long przeniósł stolicę zjednoczonego państwa do Hue.

Obecna nazwa obowiązuje od 1831 roku. W roku 1882 zostało ono opanowane przez Francuzów i stało się stolicą protektoratu Tonkin, a w latach 1887–1945 było siedzibą administracji francuskiej w Indochinach Francuskich.

Dzień w Hanoi zaczynał się znacznie wcześniej niż u nas, a także znacznie wcześniej niż w czasie pokoju. Już od najwcześniejszych godzin miasto żyło. Sznury rowerów ciągnęły ulicami, dużo też pieszych. Ulice były 3–4-pasmowe – zewnętrzne dla ruchu rowerzystów, wewnętrzne dla samochodów. Pierwszeństwo na skrzyżowaniach ulic (zwyczajowo przyjęto) miał pieszy i rowerzysta. Ludzie spieszyli się do pracy. Fabryki zostały przeniesione z dotychczasowych miejsc do dżungli. Panował spokój, brak było jakichkolwiek oznak strachu, histerii czy paniki, choć każdego dnia i nocy powtarzały się alarmy przeciwlotnicze i bombardowania. Rowy i schrony przeciwlotnicze stały się nieodzownym elementem miejskiego krajobrazu. Wiadomości oraz żołnierskie i bojowe pieśni płynęły z głośników ulicznych i były przeplatane wskazówkami jak zachować się podczas nalotów. Dawny czerwony kolor tramwajów zastąpiła ochronna barwa zielonkawa. Przejeżdżające samochody były okryte maskującą zielenią. Autobusy były barwy żółto-zielonej.

Wieczorem i w nocy miasto było oświetlone. Czynne też były kina, teatry i wystawy. Dużo ludzi uśmiechniętych. Na pierwszy rzut oka nie było widać, że kraj jest w stanie wojny. Przypominała o tym duża liczba schronów przeciwlotniczych. W dzielnicy śródmiejskiej były one mało widoczne, gdyż urządzono je w piwnicach większych budynków bądź na podwórkach i placach. Były to murowane pomieszczenia mieszczące od kilkunastu do 200 osób. Do połowy swej wysokości były budowane w ziemi, strop natomiast był przysypany grubą warstwą ziemi. Po obu stronach chodników wzdłuż jezdni znajdowały się schrony indywidualne, 1–2-osobowe. Były to okrągłe doły o średnicy około 1 m i głębokości do 1,5 m. Rozmieszczono je w odstępach 2 do 10 m, w zależności od gęstości zaludnienia w danym rejonie. W wielu wypadkach były one ocembrowane betonowymi kręgami – jak do budowy studni, lub plecionką bambusową i przykrywane betonowymi pokrywami.

W instytucjach, zakładach pracy i hotelach były zorganizowane pododdziały samoobrony. Miały one za zadanie w czasie nalotów strzec porządku i dyscypliny w przydzielonych im rejonach miasta. Część z nich, uzbrojona w karabiny, zajmowała stanowiska na dachach budynków bądź obsługiwała ustawione tam karabiny maszynowe z zadaniem prowadzenia ognia do nisko lecących samolotów nieprzyjaciela. W skład pododdziałów samoobrony wchodzili zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Podziwiałem personel hotelowy przede wszystkim za sprawność w działaniu.

Alarmy lotnicze dzienne i nocne dla mieszkańców Hanoi prawie spowszedniały. Musieli oni przecież w tych warunkach żyć i pracować (sam tego doświadczyłem). Bezchmurne niebo i dobra widoczność to dla nich zła pogoda. Częstotliwość nalotów stawała się wówczas znacznie większa. Lotnictwo starało się niszczyć wszystko, co w jakikolwiek sposób pomagało w prowadzeniu wojny. Gdy samoloty znajdowały się w odległości około 70 km, ostrzegano przez uliczne głośniki: „Mai Bai My", gdy zbliżyły się na odległość 30 km – ogłaszano alarm, natomiast w przypadku braku zagrożenia zapowiadano: „Daa Bai Saa" (przeszedł), i był to sygnał powrotu do przerwanej pracy.

Podczas złej pogody (niski pułap chmur) i w nocy stosowano ataki nękające. Wtedy ogłaszano alarmy kilka razy w ciągu nocy. Najczęściej w tych samych godzinach: 19.00–22.00,

23.00–1.00, 3.00–4.00 i 6.00–7.00. Zdarzało się, że ogłaszano alarm równocześnie z otwarciem ognia przez rakiety, następnie artylerię przeciwlotniczą kalibrów: 100, 85, 57 i 37 mm. Armaty różnią się natężeniem wystrzałów i można było określić ich kaliber. Wieczorem i w nocy wraz z ogłoszeniem alarmu automatycznie wyłączano oświetlenie w całym mieście. Nie wszyscy mogli przyzwyczaić się do takich warunków. Na przykład ambasada polska akredytowana przy rządzie Demokratycznej Republiki Wietnamu usytuowana była niedaleko (około 1,5 km) od mostu na Rzece Czerwonej, który był nieustannym celem ataku lotnictwa, i bomby spadały niejednokrotnie blisko naszej placówki dyplomatycznej. Z polecenia ambasadora, po ogłoszeniu alarmu, wszyscy pracownicy musieli zejść do schronu, nawet 3 razy w ciągu nocy. Podobnie było w hotelu, w którym mieszkałem. Nie wszyscy to znosili i niektórzy byli u kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej. W roku 1968 agresja stała się bardziej brutalna i krwawa, naloty na Wietnam Północny miały coraz bardziej charakter terrorystyczny. Bomby burzące – na miasta i wsie, bomby kulkowe, bomby z opóźnionym zapłonem obliczone były na jak największą liczbę ofiar, aby złamać ducha oporu Wietnamczyków.

Obrona przeciwlotnicza Hanoi dzielnie przeciwstawiała się niszczącym nalotom przeciwnika, zadając mu również dotkliwe straty. Wietnamczycy dysponowali doskonale wyszkolonymi obsługami, w znacznym stopniu były to kobiety, odpornymi psychicznie, które zdolne były na czas wykryć i otworzyć ogień do atakujących samolotów i trwać na swoich stanowiskach, mimo silnego ostrzału i bombardowania. Często stosowali również manewr sprzętem – zmiana stanowiska ogniowego po oddaniu serii wystrzałów, wykorzystywanie pozornych stanowisk ogniowych z makietami sprzętu – oraz doskonałe maskowanie (byłem na takim). Stwarzali takie pozory rzeczywistości, że działanie przeciwnika przeciwko wyrzutniom i artylerii przeciwlotniczej były mało efektywne.

Skutki napadów lotniczych usuwały sprawnie i szybko specjalne pododdziały, które naprawiały uszkodzone drogi i mosty, zasypywały leje po bombach. Zbombardowany obiekt był natychmiast izolowany od osób postronnych. Nigdy nie podawano wysokości strat, ani ich lokalizacji, mówiono tylko, że był bombardowany rejon, nigdy obiekt. W ten sposób chcieli pokazać, że cały ciężar wojny naród wietnamski dźwiga mężnie, z poczuciem własnej wartości, godnie i dzielnie znosi przeciwności losu. Wśród ludności prowadzono systematyczną pracę polityczno-wychowawczą mającą na celu wyrobienie jednolitej postawy i zdecydowanych doprowadzić wojnę do zwycięskiego końca.

Heroizm walki o samostanowienie i życie w pokoju wzbudzał najwyższy podziw i uznanie nie tylko moje. Przypominał naszą walkę z okupantem podczas minionej wojny. Szef misji łącznikowej Demokratycznej Republiki Wietnamu, późniejszy przedstawiciel tego kraju na konferencję paryską, nadpułkownik Ha Van Lau, w rozmowie ze mną w Hanoi powiedziałem m.in.: „Narody nasze mają wiele wspólnego. My, Wietnamczycy, wyciągnęliśmy wnioski z waszej historii, gdyż jest ona nasycona jak i nasza walką o wolność i niepodległość". W przyszłości Wietnamczycy widzieli swój kraj pełen obfitości, ale na razie musieli zrezygnować z najbardziej elementarnych potrzeb. Żyli biednie, nawet ubogo. Żywność była reglamentowana, przydziały więcej niż skromne, zarobki niskie, wszystko bowiem podporządkowane było potrzebom frontu. Na fali rzekomego entuzjazmu zmniejszono i tak głodowe racje żywnościowe. Pokątnie wyrażano swoje niezadowolenie. Entuzjazm wygasł, a zaczął, tak się wydaje, przemawiać zdrowy rozsądek. Świadczyły o tym wypowiedzi

m.in. oficerów z Misji Łącznikowej Demokratycznej Republiki Wietnamu. Zdawano sobie sprawę, że wróg jest jeszcze silny oraz dysponuje potężną techniką i potrzeba dużo czasu zanim ostatecznie zostanie pokonany.

Czy entuzjazm walki był rzeczywisty czy też wymuszony? Sądzę, że jedno i drugie. Chcieli żyć normalnie, a oni żyli w ciągłym napięciu, nękani alarmami i bombardowaniami, zatroskani o swoich bliskich – dzieci były szczególnie hołubione, zwłaszcza chłopcy. Nie wiedzieli co dzieje się z ich synami i mężami, których powołano do wojska i gdzieś tam walczyli. Ze względu na zachowanie tajemnicy nie podawali miejsca swego pobytu, tak przynajmniej mówiły w wielkim sekrecie bardzo nieliczne młode mężatki, rozglądając się, czy nikt inny tego nie słyszy. Widać było zmęczenie, ale nie rezygnację z walki. Z wypowiedzi wynikało, że bombardowania i niszczenie ich mienia nie tylko nie obniża ich morale, lecz odwrotnie, wywołuje coraz większą nienawiść i pragnienie zemsty. W przeciwieństwie do mieszkańców Wietnamu Południowego, gdzie wszystko było na sprzedaż (patrz wrażenia z Qui Nhon), tutaj spotykałem się na każdym kroku z godnością. Nikt nie wyciągał ręki po datek, dziecko nie wzięło cukierka, jeśli starsza osoba nie powiedziała, że to przyjaciel Ba-Lan (Polak).

Posiłki, które nam podawano, były zbyt obfite, więc zabierałem z obiadu, często i po śniadaniu, dwie kromki chleba z porcją mięsa (były zwykle dwa dania mięsne) i kładłem taką kanapkę na półce obok kominka. Kanapka błyskawiczna i bezszelestnie znikała. Gdybym chciał podarować ją konkretnej osobie, spotkałbym się z odmową.

Wszystkie domy publiczne znikły (patrz Qui Nhon). Władze Demokratycznej Republiki Wietnamu stały na straży moralności swoich obywateli. Gdyby doszło jednak do zbliżenia Wietnamki i Europejczyka, wówczas ona natychmiast zostałaby wysłana do kopalni węgla kamiennego, a on, jako osoba niepożądana, musiałby w trybie pilnym opuścić kraj (opowiadał mi o tym pracownik ambasady węgierskiej).

Warunki życia przeciętnego Wietnamczyka, w porównaniu z naszymi, były niewspółmiernie niskie. Byłem w domu rzemieślnika, który wyrabiał makatki i serwetki z listewek bambusa (modne swego czasu). Pomieszczenie 3 x 4 m, z czego prawie połowę powierzchni zajmowało łóżko rodzinne, które w dzień służyło za warsztat pracy (było to obramowanie łóżka, a na nim mata bambusowa). Jego żona akurat przyrządzała obiad – tylko ryż. Ustawioną na zewnątrz kuchnię tworzyły trzy cegły ułożone w trójkąt. W palenisku żarzył się węgiel drzewny (palmowy). Garnek z ryżem po kilkunastu minutach zdjęto z paleniska i owinięto szmatami. Po następnych kilkunastu minutach ryż był gotowy do spożycia. Trzy małe miseczki ryżu dziennie zaspokajały potrzeby żywnościowe. U ludzi odżywiających się tylko ryżem brakuje witaminy B_1 i zapadają na chorobę beri-beri, która objawia się obrzękiem, porażeniem mięśni i zaburzeniami neurologicznymi.

Wietnamczycy, mimo uprzejmych gestów i uśmiechu, byli mało wylewni i bardzo oszczędni w słowach. Raczej słuchali i pytali, niż sami mówili. Trudno było od nich cokolwiek wydobyć. Odpowiadali najczęściej, że albo tego nie wiedzą, albo się tym nie interesują. Gadatliwych natychmiast odsuwali od członków Komisji. Podczas bombardowania zginął 15-letni syn majora, oficera łącznikowego Demokratycznej Republiki Wietnamu. Powiedział nam o tym kierowca Warszawy przydzielonej polskiej delegacji. Gdy następnego dnia członek podkomisji złożył majorowi kondolencje, ten zachował kamienną twarz, jak gdyby to nie jego dotyczyło. Nazajutrz był już inny kierowca.

Podkomisja w Hanoi nie mogła wykonywać swoich zadań wynikających z uchwał genewskich, ponieważ jej praca została czasowo zawieszona z powodu trwających bombardowań. Grupa inspekcyjna w ogóle się nie zbierała, chociaż byli tam przedstawiciele wszystkich delegacji: hinduskiej, kanadyjskiej i polskiej. Po prostu trwaliśmy. Codziennie wychodziłem z hotelu do pracy, do siedziby delegacji polskiej, gdzie kierownikiem kancelarii był przemiły Wietnamczyk Kim. Pracowałem od godz. 8.00 do godz. 13.00. Studiowałem w tym czasie dokumenty Komisji, historię Wietnamu, robiłem krótkie notatki oraz trochę pisałem na maszynie (uczyłem się). Tam poznałem kilku miłych i kulturalnych ludzi, szczególnie Floriana Kaszubę, dyplomowanego tłumacza z języka angielskiego i francuskiego, z którym się zaprzyjaźniłem i przez cały czas pobytu trzymaliśmy się razem. Lubiłem i lubię poznawać ludzi, od których mogę się czegoś nauczyć. Po południu odbywałem spacery po mieście i odwiedzałem parki.

Bywałem w naszej ambasadzie akredytowanej przy rządzie Demokratycznej Republiki Wietnamu. Panowała tam przyjemna atmosfera. Miło było pogawędzić przy kominku, w którym płonęły szczapy drewna. W tym czasie temperatura powietrza nie przekraczała 10˚C. Przed południe odwiedzałem nasz ataszat wojskowy, zapoznając się z interesującymi materiałami. Tam właśnie zobaczyłem przez okno ambasadora chińskiego (ambasady polska i chińska graniczyły ze sobą), który zamiatał podwórze, robił to podobno raz w tygodniu.

Z Florianem byliśmy wszędzie tam, gdzie nas zaproszono, m.in. na przyjęciu wydanym przez przewodniczącego podkomisji hinduskiej i obiedzie wydanym przez przewodniczącego podkomisji kanadyjskiej. Dziękując gospodarzowi za doskonały obiad i miły nastrój, Kanadyjczyk zwrócił uwagę na moje półbuty (byłem po cywilnemu). Gdy dowiedział się, że zostały kupione w Polsce, był bardzo zdziwiony i zaskoczony. Nie sądził, że w naszym kraju produkują takie ładne rzeczy? Z innym członkiem delegacji kanadyjskiej, z którym spotkałem się w Hue, zapalonym miłośnikiem hokeja, wypiliśmy sporo ginu. Rewanżowałem się dopiero w Sajgonie „Żubrówką".

Kanadyjczycy prowadzili w Hanoi ożywioną działalność kulturalną. Raz w tygodniu wyświetlali filmy oraz organizowali gry i spotkania towarzyskie, na których obecni byli przedstawiciele wielu placówek dyplomatycznych. Podczas przerw w trakcie projekcji filmu czynny był bufet z napojami.

Ponieważ wszędzie było chłodno, wyskakiwałem od czasu do czasu do baru w hotelu „Metropol" na szklaneczkę grogu à la Kurniewicz, który rozgrzewał doskonale.

W Hanoi miałem być do 5 marca, ale z przyczyn ode mnie niezależnych odleciałem dopiero 22 marca. Wyjeżdżałem na lotnisko 6 razy, aby za każdym razem dowiedzieć się, że samolot nie wyleciał z Sajgonu z powodu złej pogody. Brak było łączności między hotelem a lotniskiem. Każdy wyjazd na lotnisko i powrót z niego to pakowanie i ponowne rozpakowywanie. Samolot doleciał dopiero 19 marca, ale władze lotniska zatrzymały go dłużej, rzekomo z powodu spóźnienia się pasażera, który był na liście. Gdy minął wyznaczony czas odlotu, kapitan nie zgodził się na start (wyznaczony był korytarz lotu, wysokość i ścisły czas przelotu). W 1965 roku nad Laosem doszło do strącenia samolotu komisyjnego, który przekroczył wyznaczone parametry.

Tymczasem został zniszczony most na Rzece Czerwonej. Samoloty nadleciały doliną tej rzeki, leciały bardzo nisko, poza zasięgiem wykrywania stacji radiolokacyjnych (poniżej 50 m). Komunikacja między miastem a lotniskiem odbywała się przez most pontonowy.

Na środku tego mostu zastał nas alarm przeciwlotniczy. Ruch w czasie trwania alarmu był zabroniony. Siedziałem więc w naszej warszawie, czekając na jego odwołanie, chociaż odwożący mnie koniecznie chciał iść na brzeg. Uległ jednak mojej perswazji, że w samochodzie jest ciepło i sucho, a na brzegu chłodno i mokro. Jeżeli mamy zginąć, to wolę w ciepłym i suchym miejscu.

Innym razem, gdy samolot już doleciał i długo czekaliśmy na jego start, który nie nastąpił jednak – z przyczyn już omówionych – wracaliśmy do hotelu drogą okrężną przez następną przeprawę pontonową odległą od pierwszej o około 20 km. Ten pierwszy most pontonowy był przerwany, aby przepuścić transport wodny z zaopatrzeniem. Wówczas dopiero zobaczyłem ogrom zniszczeń. Same ruiny i zgliszcza. Dopiero 22 marca udało się szczęśliwie wystartować i dolecieć do Sajgonu, w którym znalazłem się następnego dnia.

W tym czasie praca w Komisji była rutynowa: od czasu do czasu wyjeżdżałem na kontrolę portu, a po południu rozglądałem się po mieście, które zmieniło się po walkach toczonych w okresie Święta Tet. Różne ważne instytucje zostały okolone zasiekami i siatką z drutu kolczastego, na których zawieszono na różnych wysokościach puszki po piwie i coca-coli (puszki te przy dotknięciu drutów wydawało metaliczny dźwięk, ostrzegając wartowników), a także zabezpieczone workami z piaskiem.

Urlop

Od 16 kwietnia przebywałem na urlopie w Kambodży razem ze Stanisławem i jeszcze dwoma kolegami: Andrzej Dobrzyńskim i Ryszardem Zieją. Zatrzymaliśmy się w Phnom Penh, w dobrym hotelu, każdy z nas mieszkał w oddzielnym pokoju. Trafiłem na niesamowity upał, temperatura dochodziła do 45˚C w cieniu, bez najmniejszego przewiewu. Zefirek był bardzo pożądany i oczekiwany. W pokoju było zupełnie przyjemnie, ponieważ była dobra klimatyzacja.

Wszędzie panowała cisza i spokój. Różnica między niedawno opuszczonym Sajgonem była ogromna – bez drutów kolczastych i Amerykanów. Wówczas Kambodża cieszyła się niedawno uzyskaną niepodległością. Nieszczęście i tragizm miały dopiero nastąpić. Na każdym kroku spotykałem wspaniałe miejsca do zdjęć, których robiłem sporo. Dopiero potem okazało się, że źle założyłem film do aparatu i wiele pięknych ujęć straciłem bezpowrotnie.

Wybraliśmy się do Angkor Wat. Była to wspaniała, niestety jednodniowa wycieczka. Tam dopiero zobaczyłem prawdziwy folklor. Trzeba było pokonać około 200 km w jedną stronę. Wynajęliśmy taksówkę za 2200 rieli (około 40 dolarów) w obie strony. Angkor to historyczne miasto Kambodży położone na północnym brzegu jeziora Tonle Sap. W latach 802–1431 stolica państwa Khmerów, zburzona w 1177, odbudowana przez Dżajawarmana VII pod nazwą Angkor Thom. Znajdują się tam ruiny rezydencji władców i kilkudziesięciu wielkich świątyń. Tajemnicze świątynie skryte w tropikalnej dżungli, posągi bezimiennych bóstw obrośnięte porostami i pnączami odkrył w roku 1861 francuski botanik Henri Mouhot. Wśród nich słynną świątynię Angkor Wat z XII wirku. Najwspanialsze w świątyni są reliefy, 2-metrowe płaskorzeźby ciągnące się wzdłuż kilkusetmetrowej galerii. Przedstawiają one sceny mitologiczne, religijne, batalistyczne oraz z życia codziennego starożytnej Kambodży. Nie brakuje też półnagich tancerek w pełnych wdzięku pozach. Jest to kapitalne źródło wiedzy dla współczesnych, gdyż nie zachowały się prawie żadne źródła pisane. Na dziedzińcach

mnisi w pomarańczowych pelerynach (togach) kontemplują z puszkami na ofiarę (jadło), gdyż tylko takie było ich źródło utrzymania.

Wróciliśmy zmęczeni, ale usatysfakcjonowani, pełni niezapomnianych wrażeń. Nazajutrz umówiliśmy się z kierowcą (był doskonały) na kilkudniową wyprawę do Sihanoukville za 1200 rieli (około 20 dolarów).

Pierwsze kroki skierowaliśmy do restauracji, lokalu odpowiadającego naszemu kategorii „s" lub przynajmniej kategorii I. Zamówiliśmy dania firmowe, bo i tak nie było wiadomo co to będzie (karta z opisem po francusku). Spotkaliśmy kilkunastu gości, Francuzów, wśród których znalazł się Polak, ale byli też i Niemcy. Kelnerzy uwijali się bardzo sprawnie (aż trzech). Do obiadu piliśmy oryginalną wodę Vichy (dobra, ale droga, butelka kosztowała ponad dolara), a do kolacji piwo (butelka 1/3 l też kosztowała dolara). Ponieważ u nich obowiązywała prohibicja, dlatego wszelkie trunki były znacznie droższe niż w innych krajach. Pierwszy dzień kosztował nas po około 10 dolarów (trochę dużo), potem byliśmy już mniej rozrzutni.

Kąpiel w morzu bajeczna, woda ciepła, czysta, przezroczysta – widać dno – i słona (bardziej niż w Bałtyku), fale półmetrowej wielkości, niebo błękitne. Po wyjściu z wody pokryty byłem białym nalotem, od soli. Dokuczały również czarne muszki, które po wyjściu z wody cięły boleśnie, pozostawiając po sobie czerwone plamki, jak po ukłuciu komara. Wieczorem kolacja, spacer, kąpiel pod prysznicem i spanie. Po dniu pełnym wrażeń robiłem jeszcze notatki. Sen przychodził z trudnością.

W błogim nastroju minęły 4 dni. To był wspaniały wypoczynek, spokój cudownie odprężał.

Powrót do kraju

Już od wczesnych godzin rannych 28 kwietnia 1968 roku nie spaliśmy, byliśmy podekscytowani czekającą nas podróżą. Godzinę przed odlotem opuściliśmy hotel. Byłem z niego zadowolony. Było cicho, czysto i dobrze się w nim mieszkało.

Na lotnisku ważenie bagażu. Po wyjęciu przedmiotów podręcznych, które miałem przy sobie w samolocie, akurat 20 kg. Odprowadzili nas Andrzej Dobrzyński i Ryszard Zieja, z którymi miło spędzałem urlop. Oni wracali jeszcze do Sajgonu.

8 maja o godz. 14.00 lądowaliśmy na Okęciu. Po wylądowaniu w Warszawie i wyjściu z samolotu miałem szczere chęci uklęknąć i ucałować polską ziemię, w ten sposób podziękować za szczęśliwy powrót do kraju. Nie uczyniłem tego, obawiając się sensacji.

Po prawie 10 miesiącach pobytu w tropiku wróciłem do kraju bardziej doświadczony życiowo, cały i zdrowy, co wykazały badania przeprowadzone w Instytucie Medycyny Tropikalnej w Gdyni. Bywało różnie, raz lepiej, raz gorzej, ale nigdy źle. Na urlopie w Kambodży było cudownie. Nigdy nie chciałbym jednak tam pozostać. Tęskniłem za rodziną i krajem. Wracałem do niego z prawdziwym utęsknieniem. Tutaj bowiem czekali na mnie najbliżsi, których mi tak brakowało.